

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 19 PAŹDZIERNIKA 1929 ROKU

NR. 42

TREŚĆ NUMERU: Niezasłużone hołdy — *Haen.* Z niedoli dziecięcej — *M. Znatowicz-Szczepańska.* Poezje: „Oblubienica“, „Serce kobiety“ — *Lucyna Krzemieniecka.* Zawalidroga — powieść (c. d.) — *Herminja Nagleroma.* Cmentarz bez grobu — *M. H. Szpyrkówna.* Wizyta w Polsce panny Van Eeghen, sekretarki Rady Międzynarodowej Kobiet — *Z. Imaszkiewiczowa.* Wszechwładza stylowej brzydoty — *Stanisław Machniewicz.* Sport a propaganda zagranicą — *M. K.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *Herminja Nagleroma.* Kobieta w świecie i w domu. W naszych ogrodach — *M. M. S. Stroszka.* — *Prof. Feliks Teodorowicz.* Pomidory — *Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: W orszaku — *Well.* Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens.*

Arkusz wzorów.

NIEZASŁUŻONE HOŁDY

W ciągłej walce o utrwalenie zdobytych już praw, przepowiadamy sobie, niby wyuczoną lekcję, co i ile się nam należy na mocy tych właśnie uzyskanych praw. Jest to jakgdyby wewnętrzna propaganda, która powinna w nas utrwalić samopoczucie i, mimo zawsze jeszcze niekorzystnych dla nas koniunktur, utrzymywać w nas energję — dążenia. Ale, gdy tak bacznie notujemy każde zjawisko, zasilające naszą wiarę w siebie, niemniej konieczne jest uczciwe kontrolowanie tych zjawisk, które są ujemnymi pozycjami w bilansie naszej wartości. Może więc zamało zwracamy uwagi na nastroje, panujące wśród dzisiejszej młodzieży żeńskiej, tej młodzieży, która nie walczyła o równouprawnienie i dlatego właśnie nieco zbyt powierzchownie pojmuje jego znaczenie. Stwierdzam na zasadzie obserwacji, że duży procent dzisiejszej młodzieży żeńskiej nie uświadamia sobie potrzeby kontynuowania dążeń feministycznych, raczej przeciwnie — nawraca do pojęć szkodliwych dla sprawy kobiecej, a conajwyżej korzysta z równouprawnienia dla celów — swobody obyczajowej.

Jest to temat, mimo swej drażliwości, zbyt ważny i poważny, aby go zbyć jednym zdaniem i dyskretnie ujętą aluzją. Zastrzegam więc sobie powrót do tego zagadnienia, a w dzisiejszym artykule zajmę się przykładowo sprawą, która wskazuje właśnie na lekceważenie poczucia ludzkiej godności w kobiecie. Sensacyjnem w tej kwestji, którą zamierzam poruszyć, jest to, że temat podsunął mi artykuł premjera Italji — Mussoliniego. Oto przed paru miesiącami napisał Mussolini dla jednej z amerykańskich agencji prasowych artykuł o kobiecie dzi-

siejszej. Nie tu miejsce na polemikę z wynurzeniami włoskiego męża stanu i nie nasza rzecz zbijać jego racje, dotyczące ograniczeń w zawodach i w studjach na wyższych uczelniach. Zaciekawilo nas przedewszystkiem kategoryczne postawienie sprawy, zdawałoby się, nieważnej — sprawy konkursów piękności.

„Znieśliśmy konkursy piękności“ — pisze Mussolini. — „Fizyczny powab kobiety jest zbyt świętym symbolem jej kobiecych cnót, by można czynić z niego przedmiot publicznego widowiska. To nie jest statuetka bronzowa, którą wystawia się na bezwstydną, obleśny zachwyt. Niewolnice na Wschodzie, wystawiane publicznie na sprzedaż, zasłaniały się ze wstydu, a współczesne „królowe piękności“ wyrzekają się rumieńca wstydu wzamian za gapiowski podziw dla swojej postaci.“

Wistocie od kilku lat wprowadzono u nas i na całym świecie modę obierania „królowych piękności“ i zrobiono z tego śmiesznego procederu ambicję narodową na konkursach międzynarodowych. Nie wiem, co się kryje za tem współzawodnictwem — czy „propaganda“, czy business, czy poprostu emocjonująca zabawa — sądzą jednak, że rezultat tych konkursów jest jeden: obniżenie godności kobiecej. I to nie dlatego, że stające do konkursu kobiety są przedmiotem gapiowskiego podziwu i skrupulatnej oceny jury. Zawstydza w tej zabawie nie publiczny pokaz wdzięków, ale to, że wartość kobiety redukuje się w takich konkursach do zasług niezasłużonych, do zalet jedynie zewnętrznych. W ten sposób wtłacza się kobietę do tej samej klatki, z której z takim trudem wydobyła się na wolność. Prawie

możnaby posądzać, że tu znowu perfidja mężczyzny kusi kobietę małąwartą ambicją, aby ją zepchnąć z drogi niełatwej walki o swoje ludzkie stanowisko.

Nie chcę jednak przesadzać w doszukiwaniu się motywów aż tak demonicznych i przypisać to raczej powojennej pomysłowości, która niejednokrotnie przejawia się w sposób jaskrawy, nieestetyczny i nieetyczny. Konkursy piękności niewątpliwie wzięły swój początek w zapotrzebowaniu teatrzyków rewjowych, w tym targu na dziewczęta, których nagość opłacała się dyrektorom i właścicielom Moulin Rouge'ów oraz wszelakich kabaretów, od St. Francisco po Władywostok. Dziś nagość girls'ów przestała emocjonować, ale zostały konkursy piękności. Zdawałoby się, że to atawistyczny monarchizm demokratycznych społeczeństw wyraża się w plebiscytach, w wybieraniu królowych piękności.

Jest to napozór niewinna zabawa, a są tacy, którzy dopatrują się w niej radości życia, jako reakcji powojennej. Zwolennicy tych nieprzydatnych konkursów skłonni są nawet do symbolizowania, do kreowania nowego obyczajowego święta piękności. Są to jednak pomysły niewspółczesne, a ich tendencja, wistocie ubliżająca godności kobiety, powinna wywołać kategorię sprzeciw ogółu kobiecego.

Współzawodnictwo pracy, czy sprawności fizycznej posiada bowiem swoje uzasadnienie w wartości moralnej, ponieważ chodzi tu o przeliczowanie jakichś energii, jakichś wysiłków woli. Ale, jakie znaczenie moralne posiada ambicja zostania miss Polonją, czy miss Europą? Jakież to honory i splendory spadają na naród, którego „córką” osiągnęła djadem królowej piękności? Czy wzrosło, na przykład, międzynarodowe znaczenie Węgier dlatego, że piękna węgierka zdystansowała angielską, lub niemiecką?

Wynik tych plebiscytów i koronacji jest tylko ten: kobieta stała się znowu przedmiotem, ocenianym według walorów zewnętrznych. Demoralizującego wpływu tej niemądrej zabawy na młode dziewczęta również nie należy lekceważyć. Bo ileż to marzeń o takiej właśnie „karjerze”! A ileż pustki wewnętrznej i lekkomyślności! Ten nowy snobizm groźniejszy jest od marzeń o gwiazdzistym niebie kina.

Powie ktoś, że trudno zabawy starszych dostosowywać do pedagogicznych względów — i będę musiała przyznać mu rację, ponieważ prawie wszystkie zabawy dorosłych są — niepedagogiczne. Ale sprawa „królowych piękności” jest aż nazbyt publiczna, ma posmak sławy, jest „narodowa” i międzynarodowa, jest już niemal — polityczna. Głupstwo sięga daleko, rozprzestrzenia się, jak gaz, może nawet trujący, a może tylko rozśmieszający. Tak, czy owak, trudno się zgodzić, że obiektem tej zabawy jest — kobieta. Kobieta — znowu manekin, znowu lalka, śliczna, jasnowłosa, ciemnowłosa, błękitnooka, czarnooka lalka. Mózg, serce, talent, pracowite ręce — są niepotrzebne, bo jej królewska

wysokość i tak sprawuje rząd dusz. Jest przecież taka, o jakiej marzą mężczyźni; jest ich bajką, w której sami są królewiczami, pазiami, rycerzami.

Doprawdy, doszłam chyba do sedna całej sprawy! Bo poniekąd już zdetronizowany mężczyzna, marząc o ideale bezmózgiej kobiety, stwarza sobie jej symbol w „królowej piękności”. Jest w tem nawet trochę poetyczności, ale i dużo żalosego błazeństwa i właśnie na to drugie nie mogą się zgodzić kobiety. Nie trzeba przecież, żeby mężczyzna się ośmieszał, bo chcemy go szanować. Ale nasz szacunek dla mężczyzny łączy się z poczuciem naszej własnej godności. Niechże więc jej nie poniża!

Zwracam uwagę czytelniczek na to błędne koło wzajemnych ośmieszania i poniżania, aby same osądziły, ile w tem groteski. A może jest to nowa forma walki, z której niema wyjścia? I dziś tak samo, jak „drzewiej”, panuje kobieta in partibus infidelium? Więc znowu powtarzam, że wcale nie chcemy tych honorów i splendorów, nie pragniemy królewskich przywilejów, osiąganych nawet drogą plebiscytów. Bogu ducha winne królowe piękności, otumanione ceremoniałem i reklamą dzienników, rozgorączkowane własnem wzruszeniem, nie zdają sobie sprawy z tego, że są przedmiotem zabawy i że dzieje się im największa krzywda: poniżenie — a przez nie wyraża się krzywdę całemu ogółowi kobiecemu.

Włoski premier zakazał konkursów piękności, twierdząc słusznie, że z cnót, a zwłaszcza z niezaspokojonych zewnętrznych powabów, nie można czynić publicznego widowiska. Mussoliniemu chodzi przede wszystkim o obrażoną kobiecość, o ten kobiecy „wstyd”, o skromność. My wydobywamy z tej sprawy inny czynnik, bo — godność ludzką, i przeciwstawiamy się konkursom piękności, biorąc pod uwagę wyłącznie zasadę godności ludzkiej. Kobiety muszą być szczególnie wrażliwe w tym względzie, muszą być nawet przesadnie wrażliwe i czujne. Nasza pozycja nie jest przecież jeszcze tak pewna, żeby jej nie groziły choćby i niewinne próby, podważające osiągnięte już zdobycze. Z takich bowiem „niewinnych” igraszek wynikać może przemiana pojęć, nastąpić może powrót do tych dawnych form „uwielenia” i madrygalstwa, kiedy to kobiecie wyznaczano miejsce na „piedestale”, ale odmawiano jej prawa do człowieczeństwa.

Więc też nie mogą nas cieszyć triumfy królewskie, nie wzmagają naszej dumy reklamarskie efekty. Mamy inne ambicje i naszej kobiecości większą sprawi satysfakcję kobieta-minister, kobieta-laureatka Nobla, kobieta-uczony, kobieta-pedagog. Niech się gawiedź nauczy cenić właśnie takie kobiety i tym niech odda sprawiedliwy hołd. O taką popularność i takie uznanie będziemy się ubiegać na konkursach narodowych i międzynarodowych. A zapewniam p. t. mężczyzn, że to w niczem nie zmniejszy naszego wdzięku i naszej urody.

Haen.

M. ZNATOWICZ - SZCZEPAŃSKA

Z NIEDOLI DZIECIEŃCEJ

Mieszkając przez pewien czas na wsi, w pobliżu Warszawy, miałam w najbliższym sąsiedztwie, przez płot od ogrodu, dwa czy trzy obejścia zamożnych podobno gospodarzy. Byłam zatem, chcąc nie chcąc świadkiem życia codziennego tych ludzi, co zresztą ograniczało się głównie do wrażeń słuchowych. Gdy tylko się rozwidniło, budził mnie nieraz ze snu przenikliwy głos gosposi, zwołującej kurczęta; wieczorami szczekanie psów, przeciągłe ryki krów, postukiwanie młotka przy jakiejś stolarskiej robocie, śpiewka dziewczyny, czasami odgłosy kłótni...

Ponad tem jednak górował, dając wszystkim tym głosom tło, nieustanny prawie i dla ucha wreszcie nieznośny, płacz i krzyk dzieci. Potrafiły one płakać całymi godzinami. Mało — płakać; krzyczeć, jakby je obdzierano ze skóry, szlochać rozpaczliwie, przejmująco, tak bezsilnie, jak tylko dziecko to potrafi.

A na to wszystko odpowiadało ze strony starszych głucho milczenie. Czasami dawał się słyszeć głos męski, wcale nie rozzłoszczony, przeciwnie, zupełnie spokojny: „ej, coś mi się zdaje, że ty zaro ode mnie dostaniesz” — to znów matka czy siostra podbiegła i podniosła rozkrzyczane maleństwo. Nie widziałam, żeby te dzieci bito, nie słyszałam, żeby gniewano się na nie, żeby im wymyślano. Przeciwnie, powtarzam, płacz ich nie wywoływał żadnego echa.

Mnie tu, po drugiej stronie płotu, aż podnosiło: biegłam to z cukierkiem, to z obrazkiem, tamci słuchali tych wrzasków, jak gdakania kur lub kwiku prosiąt.

Czasami, w dzień jarmarczny, dzieci zostawały same i wtedy to już naprawdę niedola ich dochodziła szczytu. Zamorusane, z buziami umazanymi błotem i łzami, rozczochrane, niby małe strachy w życie, wałęsały się bezradnie cały dzień, „pod opieką” mało co starszej i wcale nie mądrzej od nich samych dziewczuszyny i beczwały, ile się zmieści.

Z kilku chat, najbliższych naszego mieszkania, trzymała się razem szóstka takich małych nieboraków w wieku od lat 2 do 6-ciu, mizernych, niewyrośniętych i Nielitościwie brudnych. Zawarłam z nimi znajomość sąsiedzką. Była taka trzyletnia może Jadzia, która najwięcej się awanturowała. Słyszając kiedyś po południu historyczne prawie wrzaski dziecka, biegnę aż do chaty. Mała leży w piasku, nogami wierzga, głowa, ręce, tułów cały w ruchu. Przemówiłam kilka słów do biednego dziecka. Podniosło się, pokazałam cukierek. Przestało krzyczeć. Zebrała się reszta małego towarzystwa i jakoś udało mi się ich rozgadać. Okazało się, że „mamy niema: poszli raniusko na jarmark; mleka w chałupie niema”.

— A cóż robicie? — Wożem się. — A czegoż Jadzia tak krzyczy? — Za mamom.

Mała tymczasem stała cichutko, jadła cukierek i biszkepot łapczywie, najwidoczniej była głodna.

Spojrzałam uważnie na te małe biedoty. Przecie to nie nędzarze, mają rodziców, mają z pewnością co jeść i w co się odziać, a jednak stale im wszystkiego brakuje, *bo nikt się niemi nie umie i nie chce zająć*. Wszystko im w tem życiu wygląda na coś ważniejszego, niż dziecko: koń, krowa, świnia, są karmione w porę, obrządzone jako tako; chłop, oczywiście, obsłużony przez gospodynię, jak się patrzy.

Dziecko od maleńkości musi radzić sobie samo i nie ma nic z tego, co mu jest potrzebne do prawidłowego, zdrowego rozwoju. Mleko, jaja i wogóle nabiał wywozi się z domu na sprzedaż, o mięsie mowy niema, jarzyny, poza kartoflami, nie istnieją w odżywianiu. Spanie w jednym łóżku ze starszymi, w duchocie i zaduchu izby, niewygodne i niehygieniczne. Rzadko myty, nieuczesany żadnego porządku, często mokry od dołu, nieraz chory, głodny, wałęsa się taki malec koło chałupy i nudzi się w przeraźliwy sposób.

Nikt mu nie pokaże najbardziej elementarnej zabawy — piaskiem, czy jakimi klockami, nie zachęci do zajęcia się czemkolwiek, nie rozbudzi fantazji, nie zaspokoi ciekawości. Nikt sobie głowy nie zaprząta kwestją jego potrzeb, upodobań, i nikomu nie chodzi o to, żeby takiemu szkrabowi było dobrze.

Dziecku gospodarskiemu, nie sierocie, nie znajdzie, przez wszystkich poniewieranej, *jest dobrze* w pojęciu jego rodziców. Przecie ma co jeść, ma gdzie spać, w co się odziać, ale jak je, jak śpi, jak żyje?

My wiemy, że każde dziecko na to, by żyć naprawdę, potrzebuje czystości, odpowiednich dla swojego wieku pokarmów, odpowiedniej ilości spokojnego i wygodnego snu. My wiemy, że dziecko jest słabe, nieporadne i boi się tego ogromnego i dziwnego świata, w którym stawia pierwsze kroki. Jakże okropnie bać się musi, jeżeli żyje zupełnie samotnie na własną rękę, niby Robinson na wyspie bezludnej, jeśli jego płacz jest głosem wołającego na puszczę, a jego rozpacz dziecinna nie budzi żadnego echa w otoczeniu!

Zapewne przebrnie jakoś pierwsze najgorsze lata, podrośnie, nauczy się dla rozrywki dręczyć żaby i koty, zresztą zapędzą je do pasania i zaczną się dlań drugi okres niedoli i nudów nieopisanych.

O, szkoła wiejska! Kiedy staniesz się naprawdę przyjaciółką dorosłych i siostrą maluczkich? Kiedy wychowasz pokolenie matek, które będą matkami w pełnym znaczeniu tego słowa: których ręka podniesie, utuli, obsłuży i skarci, gdy trzeba, których głos odpowie mądrze i słodko na pytania dziecięce, a serce odczuje i ukocha duszę dziecinna!

LUCYNA KRZEMIENIECKA

OBLUBIENICA

Wzięłaś ją taką niebieską,
wzięłaś ją taką żywą,
z cichego portu-sklepiczka,
gdzie matka mażyła pieczywo.

Matka chora, strudzona,
lata chodziła po sklepie,
patrzała na jasną głómkę
jak tylko mogła najlepiej.

Kazała mierzyć obrazkom,
Bogu kazała mierzyć.
Codzień uczyła napamić
najlepszych, smooich pacierzy.

Potem sukienki kmieciste
przy lampce nocami szyla.
Dla swojej malej córeczki,
żeby jej dobrze było.

A jednak poszła odrazu
za tobą, czarny przechołniu.
Ustom nieznanym, dalekim,
dała się myścić dodna.

Ufała bajkom, zrodzonym
w ponurym, pijanym szynku.
Chodziła za tobą, płakała.
prosiła — mała dziewczynka.

Daleś siniaki na rączki,
daleś siniaki na skronie.
Patrzyła, mierzyć nie chciała,
lamala bezradne dłonie.

Raz ją zabrali zsiniałą,
w noc, której nikt nie opowie.
W starych, pożółkłych romanach
płakali trubadurowie.

Powieźli oblubienicę
obcemi ulicami.
Doktorzy w okragłych binoklach
kimali, kimali głowami.

SERCE KOBIETY

Fabunia, staruszeńka cicha,
ze schodów schodząc, codzień wzdycha.
Idzie tak, jak przez życie, z trudem wielkim,
kupuje mnusi uśmiechnięte karmelki.
Idzie wolno, ostrożnie, dzień w dzień, tak, dzień w dzień.
Darnej błękitnej żony zapomniany cień.
Potem sercu pozwala cichutko krmawić:
myśli o mężu, co ją tak darono zostawił.
Nie pamięta przekleństw,
przebaczyła krzywdę do głębi.
Myśli: umarł w oddali,
może się biedak przeziębil. —

Dla siebie szuka przeminy,
dla niego uspramiedlimień.
Może krzywdy znosiła
nie dość, nie dość cierpliwie.
Raz, kiedy księżyc płynął,
kołysząc złote maszty
był dla niej taki dobry,
promadził ją pod kasztan...
I sima staruszeńka
chyli się, chyli bez sił.
„Mój Boże, mój Boże, mnusiu,
żeby dziadunio żył...”



HERMINJA NAGLEROWA

24)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Powiodła go na werandę, którą przecinało skośnie światło księżyca. Jeszcze oddychali wspólnym rytmem tańca, jeszcze trzymali się za ręce, wiązane chłodnym powiewem nocy, niby jedwabną wstążką.

— O, jakie mocne ręce!

Gwizdnęła, jak apasz. — A mimo to jest się smęciarzem, rzewnym lirykiem, mierzącym sobie życie na zwroteczki.

— Dłaczego mi to pani mówi?

— Naturalnie, zaraz się pan obraża! Ani się waży dotknąć tej poezji, tej wielkiej wartości, która nikomu nie jest potrzebna!

Ale, choć tak drwiła, można się było pocieszyć jej bliskością i wyczuwaniem własnej siły. Gdyby się tylko odważył, poznałaby tu zaraz jego mocne ręce i jego ramiona. Nagle zaszumiał mu w uchu szept laskotliwy, jak furkot piórka:

— Jutro tu, o tej porze... poczekać tu, w cieniu...

Wtedy ręce stały się słabe i ugięły się pod uściskiem małych dłoni. Od ucha przez policzek przebiegły usta Maryny, jak rozpiekła pręga.

Staś odwiózł Franka do domu. Powoził sam, choć Adonis temu się sprzeciwiał.

— Napewno wywali nas w jakiś rów, bo jest ślepy, jak kret.

Staś małym pyszczkiem, wistocie przypominający kreta, przysięgał, że zna doskonale drogę i nigdy jeszcze nikogo nie wywrócił. A zresztą noc jasna, więc poco tak przesadzać! Coś tam jeszcze pogadywał z irytacją o mieszczuchach, którzy się wszystkiego boją. I byliby się napewno pokłócili, gdyby konie nie zaczęły się niecierpliwić.

Bryczka szła gładko, jak sanki, a mały okrągły księżyc biegł za jadącymi, niby balonik, ciągnięty na sznurku. Nisko nad ziemią dymiły białe mgły i było tak dobrze, że nie miało się już żadnych pragnień. Wspomnienie przeszkadzało tylko, stukając w sercu, jak młot, który mógłby rozbić przejrzyste, srebrne szkło nocy.

Pożegnali się szeptem, jakgdyby nie chcieli uszkodzić nastroju. Franek postął jeszcze chwilę, nasłuchując, jak miękki turkot bryczki wpada w noc. Gdzieś daleko podniosła się wrzawa psów. Wyciągnął przed siebie ręce i wtedy uczuł znowu omdlenie w ramionach i nanowo rozpiekł się na policzku ślad ust Maryny.

Na ścieżce, wiodącej do oficyn, stał Iwaś.

— Jeszcze nie śpisz?

— Czekam na matkę.

Nie potrzebny był nawet wyjaśniający gest Iwa-

sia, Franek od razu wiedział, co się tu dzieje. Stała tam przecież wyświeżona pode drzwiami!

— Chodź do domu, Iwasiu, chodź już lepiej do domu.

Zatrzymał Iwasia w swoim pokoju, ale nie położyli się wcale. Niby nie nasłuchując, słyszeli dobrze, kiedy wróciła ogrodnikowa. Słyszeli, jak cichutko skrzypnęły drzwi do jej mieszkania, a potem skrzypnęły po raz drugi głośniejsze, bo pewnie, nie zastawszy syna, zaniepokoiła się i może poszła go szukać. Zgasili światło i przeczekali, aż zupełnie ucichło. W pokoju było opałowe powietrze, mieszanina świtu i dymu papierosów.

— Iwaś, chodźmy się popatrzeć na wschód słońca.

Poszli w różowość jutrzni, barwiącą ich blade twarze. Krajobraz wyrzeźbiał się cieniem i czerwonym blaskiem, rosy trysnęły światełkami, w gałęziach zaszumiał ptasi ranek. I nagle w oczy, w twarz, w pierś — uderzyła tarcza słońca, od razu ciepła, od razu oślepiająca.

Na krzyżach wojennego cmentarza rozpinały się promienie, a rumian weselił się niziutko okrągłymi oczyma.

— Już im tu dobrze, już najlepiej — stuknął Iwaś obcasem. — Chciałbym, aby znowu była wojna. Wie się wtedy, kto przyjaciel, kto wróg. A teraz pod jednym dachem... i zabić nie można!

— Przecież ona nie jest twoim wrogiem, przecież to nie jest, jak ty myślisz, ani tak, jak ja myślę.

— Pewnie, że nie tak — zaśmiał się ordynarnie i plunął. — Mają oni swoje pomyślenie w tych sprawach i mają nas za durniów, którym nic do tego. Ale widzisz, gdybym tak mógł — dwie pięście pchały się przed oczy Franka — gdybym tak mógł...

Franek ujął te pięście w swoje ręce. Były gorące, a w przegubach biły mocno pulsami. Wyczuł w nich, z kości spleciony, a mięśniami obrosły — gniew.

XXIV.

Upał kleił się na ciele, jak miód, w czerwonych twarzach rozpękały wargi suche, obrębione czarną linijką kurzu. Głośno gdać, kroczyła po polu żniwiarka i odrzucała za siebie rozczochrane snopy. Ledwie można było nadażyć tej miarowej i sprawnej robocie, więc półkopki narastały w polu bezładnie, bylejakim kształtem. Bo właśnie sine mgły, opasujące horyzont, podnosiły się zwolna na gorące niebo, grożąc deszczem.

Franek, potracając niezręcznie o twarde ramiona kobiet, pomagał zbierać snopy. Zapach żyta i rozgrzanych ciał pobudzał do rubasznych gestów, a słowa były, niby razowy chleb, cięty białemi zębami. Od zalotnych drwin kobiet wspinała się radość, jak rozhukany koń, ale grubjański krzyk karbowego spadał na plecy, na rozpiekły kark i wzmagał roboczą ambicję, choć nie o Franka tu szło, a o czyjąś inną niezdarność.

Czasem wyrastał nad polem ojciec i, jak bóstwo, triumfował nad pochylonemi grzbietami. Dziewczęta oddychały głośniejszy przy czarnych butach dzieci, z pod kaptura chustki wpatrując się w jego twarz gładką i suchą.

— Jakże tam? Smakuje robota? — śmiał się do syna.

Franek prostował się i przeciągał, a ojciec, widząc jego muskularne ramiona, jego małą głowę, oblepioną spoconemi włosami, rozjaśniał się jeszcze głębszym, jeszcze bardziej prawdziwym śmiechem.

— Może masz już dość tego? poczerwieniałeś, jak pomidor.

Ale Franek nie miał dość i plótł coniebadź, patrząc w jasne oczy ojca. Dziewczęta chichotały i Franek czuł, że go schwymano w potrzask ciekawości. Któraś wyraźniej wyszeptała swój zachwyt, inna zagrychała słodko i już go tak sobie brały na własność, że nawet nie warto było myśleć o oporze.

Pod wieczór siadało się z kobietami na drabiniasty trzęsący się wóz. Zęby dzwoniły i gdy się chciało mówić, cięły w język, a zato dziewczęta umiały gęgać bez przerwy i ich zaczepki obsypywały, jak łaskotliwa plewa. Można sobie było powiedzieć: Podobam się dziewczuchom! — Można było po nie sięgać z rozzuchwaloną ochotą, grającą w mięśniach, jak napięta struna.

Tego zuchwalstwa było zresztą aż nadto wiele w tym czasie. Franek miał teraz dwoiste oblicze — inne, dla spraw dnia, a inne dla zakonspirowanych wydarzeń nocy. Wydeptana droga do Żarnówki jawiła się niekiedy już w szarzącym przedranii, ale nie przeszkadzało patrzeć potem ludziom prosto w twarz i przesłaniać kłamliwą żrenicą to, co przez cały dzień żyło pamięcią i oczekiwaniem nocy. Franek bywał więc często zmęczony niedospaniem i obolały, jak po meczu, lecz już pierwszy wiew powietrza odgarniał zmęczenie, niby włosy, opadłe na czoło. Tak się też stało, że Franek prawie nie zauważył powrotu Hali. Płatała się gdzieś w chłodzie domu milcząca i zblakła, a wyłączona z rozmów między ojcem a synem, była odsunięta i niepotrzebna. Czasem tylko wspomniał ją Franek leciutko i wtedy odczuwał dokuczliwy wstyd, jak po psocie. Ale nie należało zbytnio zgłębiać tego uczucia, samemu sobie

nieżyczliwego, skoro wreszcie żył tu bez cierpkich rozpamiętywań, niby z dnia na dzień. Miarą i wyrazem tych dni były żądania ojca, który chętnie teraz wyręczał się synem. Franek miał już nawet swoje działy, pracy, swoje stałe obowiązki. Gdy pisarza powołano na ćwiczenia wojskowe, przejął od niego wieczorne sobotnie wypłaty.

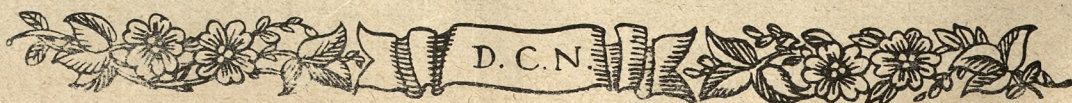
Za otwartem oknem stali robotnicy, a światło padało na ich głowy, jak reflektor na ściemnionej scenie. Głosy tłumili się szeptem i tylko czasem wybuchął gruby śmiech nad czymś dowcipnem nazwiskiem. Pokolei wchodzili do pokoju, a ich ciemne i twarde ręce zabierały pieniądze ostrożnie i jakby z niedowierzającym namysłem. Na biurku stały kolumienki monet, owiniętych w papier, leżały paczki banknotów, przepasane kolorowem pasemkiem. Franek poraz pierwszy w życiu widział tak dużo pieniędzy, więc palce drżały mu nad brzękiem niklu i srebra, przy odliczaniu zwioteczających banknotów. Bał się, że się pomyli i, jak skąpiec, pokilkakroć przeliczał te niewielkie sumy.

Gdy potem zdawał ojcu kasę, nabierał jeszcze większego szacunku dla pieniędzy, bo wysoka kolumna cyfr sumowała się już w setki. Ojciec narzekał, że robocizna zagarnia prawie cały dochód. Broń Boże, klęska elementarna, a pójdzie z torbami. Przytem jednak ręce ojca miały lekceważący ruch, a pieniądze sfruwały z jego palców, jak zła karta z ręki gracza. Było to jakieś niebywale zręczne żonglowanie i Franek podziwiał ojca, jak prestigitatora. Sam dygotał jeszcze wewnątrz po igraszcze nieposłusznych i przekornych liczb, a na zbrukanych palcach trwał jeszcze przykry i drażniący zapach metalu. Ojciec od razu wyławiał każdą omyłkę i drwił, jak nauczyciel z ucznia: — Z rachunkami jakoś nie świetnie!

W taki jeden niemiły sobotni wieczór Franek pokłócił się z Maryną, dowiedziawszy się od Adonisa o jej sprawkach.

— Przebiera się w spodenki i odwiedza księcia Augusta na budowie! — powiedział mu Janek.

Na chwilę zrobiło się czarno od braku myśli, potem miał Franek wrażenie, że duża, złota plama oderwała się z ciemności i odpłynęła w przestrzeń. I na chwilę jeszcze Maryna wydawała się rzeczywista, ale wnet zaczęła wątleć, zatracala kształt, kurczyła się i szarzała. Pozostawał tylko ciężar jej istoty i przygniatał tak boleśnie mózg, że nie można było nic pojąć, prócz tego bólu. Ale jednocześnie okazało się, że istnieją właściwie dwa mózgi — jeden, przytłoczony ciężarem i nieprzydatny, a drugi lekki, swobodny i jakby nawet czemś uradowany. I dlatego był Franek tego wieczoru tak wesoły, że nawet wszystkie piosenki patefonu nie mogły mu sprostac.



M. H. SZPYRKÓWNA

CMENTARZ BEZ GROBU

„Kiedy nie czuję, kiedy jestem w oschłości, niezdolna do modlitwy i wykonywania cnót, szukam małych sposobności i drobnostek, aby zrobić Jezusowi przyjemność, na przykład, uśmiechnę się lub uprzejmie przemówię, kiedybym chciała okazać znudzenie lub milczeć. Jeśli i do tego nie mam sposobności: powtarzam Mu przynajmniej często, że Go kocham“¹ „Dzieje Duszy“

Cmentarz w Lisieux, gdzie żyła i umarła najmłodsza Karmelitanka, tyle kochana i tyle czczona i w Polsce św. Terenia, wydał mi się tamtego dnia najpiękniejszym z cmentarzy.

Nie dla tego, abym nie spotkała wspanialszych, a zresztą i bardziej malowniczych. Słuchałam srebrnych dzwonów, płynących jakby wprost z nieba, o które uderza złote serce słońca — na Campo Santo w Genui. Tym klasycznym, co do piękna, pierwowzorem miejsc wiecznego spoczynku. Słuchałam nocami szumu morza, które się rozbijało daleko wdole pod cyprysami uczepionego skał, jak sępie gniazdo, cmentarza w Ospedaletti, na którym błędne ogniki schodzą się i krzyżują, jak bezgłośna rozmowa duchów. Znam najpiękniejsze swoją polną melancholją cmentarze kresowe na kurhanach, opłyniętych złotymi łańcuchami zboża, pod mądrym i wiekuistym poszumem ciemnych jodeł. Ale cmentarz w Lisieux miał swoje odrębne właściwości.

Sam klasztor, tuż przy małej, brzydkiej kolejowej uliczce, bez cech tradycji wiekowej i „klasztornej“ tajemniczości, jaką zwykle w klasztorach się wyczuwa, wydał mi się dziwnie mało pociągający. Taki jakiś świeżo upieczony, zbyt uliczny, wystawiony niejako na chodnik. O ile Bazylika w Lourdes mieści się w ogromnym i prześlicznie zadrzewionym obszarze trawników i kwietników, otoczona szumiącą strugą i odgradzona skałami od właściwego miasteczka, o tyle w Lisieux sklepiki ze świętościami i garkuchnie dla pielgrzymów mieszczą się oko w oko z kościołem. Kaplica św. Tereni, dobudowana wielkim kosztem do jego prawej strony, bardzo bogata, mieści sarkofag „Małej Świętej“, zawsze, w godzinach, dostępnych dla publiczności, otoczony przez jej wyznawców. Kaplica naogół jest ozdobna w stylu francuskim, na nasz gust może zbyt przeładowana, niemniej sprawia miłe wrażenie brakiem surowości w urządzeniu, klasztorom właściwej. Wszystko tam jest ciepłe w tonie i miłe w barwie, posadzka codziennie jest usypywana kwiatami.

Nie wiem, czy nam, w naszym pojęciu polskim, odpowiada woskowa podobizna w szklanej trumnie, choćby nawet najbardziej artystycznie zrobiona? Mam

wrażenie, że z wyrazem: relikwie — zawsze łączymy istotne szczątki, gdyby nawet już przedstawiały się tylko, jako trochę kości. W danym wypadku prawdziwe relikwie są złożone w specjalnej skrytce sarkofagu, a częściowo, podobno, zamknięte w woskowej figurze. Św. Terenia jest przedstawiona, jako postać ludzko żywej zakonnicy, doskonale widocznej przez szklane ściany trumny, umieszczonej na marmurowym cokole ze stopniami. Była piękna, toteż zrobiono ją, oczywiście, także piękną: ale to też i jest jedyny zarzut, jaki postawiłby się chciało: jest... za ozdobna. Zapewne, płynie to z miłości jej siostr w zakonie, które w ten sposób pragnęłyby ją uczcić, i ze szczodrośliwości wyznawców, składających ofiary na bogaty i piękny grobowiec. Może — i dostosowanie się do gustu szerokich mas gra tu rolę: pielgrzymi nie dociekają, czy jest to wosk, czy masa, czy może cudownie zachowana postać małej Świętej? Niemniej, i we Francji nie wszyscy są zwolennikami takiego dekoratywnego sposobu. Najpiękniejszym grobowcem, jaki Paryż pokazuje w liczbie swoich arcydzieł, jest grobowiec Napoleona — tak prosty i tak imponujący, jak tylko wielkiemu wodzowi przystoi.

Braki, czy raczej — nadmiary zewnętrzne giną i maleją wobec nieprzebranego uroku duchowego, jaki promieniuje z niewidzialnej postaci duchowej, znanej każdemu, kto zetknął się z dziełami św. Tereni. Jest to najczystszy i najbardziej ziemski zarazem kwiat, który się zapatrzył w niebo od najmniejszych, pierwszych swoich poczyną. Czytając książki tej młodziutkiej apostołki miłości bożej dla samej miłości, nie dla zaskarbiania nieba — nie ma się dość słów i uczuć podziwu dla jej codziennej, ludzkiej, ach, jakże bliskiej każdemu z nas, natury! Dlatego na czele artykułu umieściłam tak mało abstrakcyjne, tak... powszednie zdanie młodej zakonnicy. Każdy i każda z nas — zwłaszcza ta każda!... te sposoby ma także do rozporządzenia. Jest to dzisiejsza, współczesna, nowoczesna nawet Święta, umiająca się niecierpliwie, mająca swoje idiosynkrazje do rzeczy i osób, pisząca pamiętnik i nie wysunięta żadnym niezrozumiałym a strasznym ciału męczeństwem w imię miłości Chrystusa poza nasz słaby, ludzki szereg kobiecy. Wykazywała swoje oddanie Bogu nie męczeństwem, tylko — miłością. I jakże wspaniale, jakże przekonująco i rezbrająco umie do swojej „małej ścieżki“ nawrócić nas, poszukiwaczy wielkości. Goljatów ducha, porażanych małym kamiem z cennie bijącej procy życia tak łatwo!

Naogół otoczenie klasztoru mi się nie podobało, a sądę, że wyjątkiem w tym względzie nie jestem.

Ale jest to stan chwilowy, gdyż Lisieux już buduje piękną, podobno, bazylikę na podgórzu powyżej klasztoru, gdzie zapewne potrafi się wyodrębnić od części handlarskiej i przekupczej. Ażeby obejrzeć tę budowę i zwiedzić cmentarz, położony jeszcze wyżej, poszłam ostatniego wieczora w kierunku dalekiego wzgórza, za miasteczko, gdzie już nie chodzi prawie nikt.

I otóż, oczarowały się moje oczy! Nie dlatego, powtarzam znowu, żeby cmentarz był tak piękny. Ale jakoś się stało, że tam dopiero odnalazłam prawdziwe miejsce spoczynku małej, a tak już wsławionej cudami, świętej. Tu była pochowana po śmierci, temi koleinami toczyły się koła skromnego karawanu, jaki ją, ubogą karmelitankę, odwoził na wieczny spoczynek. Tą bramą ją wniesiono, tu, na jednym z zielonych i kwiatnych mogiłkami tarasów cmentarza, spadami zniżającego się po zielonej murawie wdół: tu ją złożono, za wspólnem ogrodzeniem sióstr-karmelitanek, obok kilku innych, które już tam się zadomowiły przed nią. Zanim ciało oddawało ziemi swoją krótkoterminową pożyczkę, z ziemi wziętą — w Rzymie i w świecie toczyły się protokoły, wiodące do procesu kanonizacyjnego. Szykowano materiały dla uwielbienia małej świętej.

A ona sama?... Oddawszy ziemi, co było ziemskie, niewątpliwie wzięła od nieba to, co jej się z łaski nieba należało, i, wierna obietnicy, wróciła tę łaskę deszczem spuszcanych na ziemię róż. Cuda jej rozsyły szeroko i daleko nierównie prędzej, niż je zdołano usegregować. I do białego ogrodzenia ze skromną mogiłą ciągnęły rzesze, otaczając je niegasnącemi światełkami świeczek i modlitw. A kiedy świece gaśły ku nocy, niewątpliwie rozbłkitniały się na ich miejsce niewidzialne płomyki modlitw. Ta biała krata, jak staroegipskie tablice, pokryta jest od góry do dołu na swojej wielometrowej długości i szerokości, błagalnemi runami krzywych, małych, kreślonych ołówkiem zgłosek. Spisywano jej „dla pamięci“, co i komu ma załatwić. I widocznie, nie odchodzili niewysłuchani, bo dziękczynnych wykrzykników jest tyleż co najmniej, jak błagalnych. Nie mówię już o kaplicy na Karmelu, która jest cała wybita krzyżykami walecznych i tablicami dziękczynnemi „à la chère petite Soeur Thérèse“ — przez szarych, ratowanych jej orędownictwem, żołnierzyków.

Ekshumacja i przewiezienie zwłok po procesie na Karmel były imponującą manifestacją, która zgromadziła rzeki ludu. Święta Terenia dostała wspaniałą

marmurowy grobowiec i, otoczona niegasnącą wartą strażniczych lamp, spoczęła w zbytkownym sarkofagu na haftowanych poduszkach, ze złotą różą w dłoni, i anielską istotnie twarzyczką, uśpioną nazawsze spokojnym snem sprawiedliwych. Ale czyż można było zostawić na cmentarzu, który wchłonał istotnie jej resztki ziemskie, zostawić poprostu nic?... Wśród tylu modlitw, które opłotły, jak dziki bluszcz, każdy z palików sztachety? Niepodobieństwo! I tak też zapewne to rozumiano, gdyż na miejscu jej mogiły stanął jej pomnik — klęcząca zakonnica w marmurze, ze złożonymi rękami, zapatrzona w dalekie światy u jej stóp, z Karmelem na pierwszym planie.

Przed tym pomnikiem, na zielonym, kwiatnym, złożonym przez zachód majowego dnia cmentarzu stałam szczególnie długo. Potem — usiadłam na jednym z kamieni. Potem — nie chciało mi się wcale wstać. Było tu dobrze, było tu *tak* dobrze!... Dlaczego ją stąd zabrano, gdzie nad nią byłoby wielkie, błękitne niebo, dokoła niej — tyle żywych kwiatów i kwitnących majem, prześlicznych krzaczków polnych, a w dalekim gaju kukła kukulka? Dlaczego ją zamknięto w grobowcu aż tak wspaniałym, ją, skromną między najskromniejszymi, która za życia o niczem poza ubóstwem dla miłości Chrystusa, także ubogiego, nie marzyła?... Nie dla niej, to jest pewne: dla ludzi! Dla nas! Żeby stworzyć dekorację imponującą i godną miłości, jaka dla niej płonie w sercach po świecie. Ale — coż będzie godniejsze od baldachimu, jaki rozrzucił nad ziemią Bóg? I czy gwiazdy nie płoną piękniej, niż najdroższy alabaster lamp?

Nie wiem? Prawa życia są inne, niż prawa serca. Zapewne, byłyby z tem związane niewygody techniczne. Ale miałam jednak nieodparte wrażenie, że ona sama jest — tu. Że klęczy może niewidzialnie wraz z białą zakonnica i odmawia swój wieczorny różaniec nad wielkim, cichym, błogosławionym przez słońce światem, który się rozściela na dole. Że słyszy daleką kukulkę i uśmiecha się do małych kwiatków, okalających cokół. I że kiedy nikt nie widzi, może je zrywa po jednym i, poszedłszy pod kamienny krzyż na jednym z pobliskich grobów: obrywa płatek po płatku, syjąc je u jego podnóża, tak jak tylekroć, tylekroć czyniła za życia — ona, która mówiła:

— O Boże mój, jakże potrafię inaczej okazać ci moją miłość?... Każdy kwiat, spotkany na drodze życia, chcę oberwać z płateczków — dla Ciebie!...



Z. IWASZKIEWICZOWA

WIZYTA W POLSCE PANNY VAN EEGHEN SEKRETARKI RADY MIĘDZYNARODOWEJ Kobiet

Na zaproszenie Rady Narodowej Polek przyjechała z Holandji do Poznania w d. 24 września panna Luiza van Eeghen, przedstawicielka Zarządu Rady Międzynarodowej, zrzeszającej przeszło 40 milionów kobiet, członkiń 42 autonomicznych rad narodowych poszczególnych państw.

Przybyła, jak mówi, nietylko poto, aby nawiązać ściślejszy kontakt z naszą Radą, zacieśnić węzły, łączące polki z międzynarodowym ruchem kobiecym, lecz przede wszystkim poto, by zapoznać się z naszą ojczyzną, z naszą pracą i jej wynikami, z naszym życiem kulturalnym i społecznym, oraz by stwierdzić i ocenić udział kobiet w wielkim wysiłku państwa i narodu na wszystkich polach pracy w ciągu 10 lat naszego niepodległego bytu. Wystawa poznańska doskonale dała jej do tego sposobność. Reszty dopełniło zwiedzanie Poznania, Warszawy i szeregu instytucyj w tych miastach, wreszcie osobiste zetknięcie się z wybitniejszymi działaczkami społecznymi, przedstawicielkami wszystkich niemal polskich stowarzyszeń kobiecych. Panna van Eeghen chętnie dzieliła się swymi wrażeniami, odpowiadając jasno i zupełnie szczerze, bez tak częstych w tych razach zdawkowych komplementów, na moje pytania, które jej stawiałam nietylko, jako członkini związku Rady Narodowej Polek, lecz jako korespondentka „Bluszcze”.

O polskiej Wystawie krajowej mówi—jak zresztą wszyscy cudzoziemcy, którzy mieli sposobność ją zwiedzić — z najwyższem uznaniem. Porównując ją z 8-miu innemi wystawami, które miała możność oglądać po wojnie, p. van Eeghen wyraża podziw nad doskonałą organizacją, nad przejrzystością i jasnością układu eksponatów, nad artystycznym ujęciem całości.

„Wystawa poznańska jest pełna dystynkcji”, mówi: „tak tam wszędzie ślicznie, tak wyjątkowo porządnie i czysto w porównaniu z innemi wystawami tego rodzaju, i tyle, tyle można się na każdym miejscu nauczyć”.

Zainteresowana udziałem kobiet w pracach przygotowawczych i organizacyjnych, przede wszystkim o ten udział wypytywała oprowadzających ją po Wystawie i wyrażała zdziwienie, że kobiety tak nielicznie były reprezentowane w Komitecie Wystawy, pomimo, że tyle w jej organizację włożyły wysiłku, energii i tej, tak zawsze niedocenionej, cichej pracy. Dłgie godziny spędzała panna van Eeghen, podczas swego tygodniowego pobytu w Poznaniu, w pawilonie

Rządowym, interesując się przede wszystkim działem Oświaty i Opieki społecznej. Zadziwił ją rozwój naszego przemysłu i komunikacji, o czym miała dotąd bardzo niedokładne pojęcie; wielkie zaciekawienie wzbudziły pawilony Pracy Kobiet i Ziemianek. Szczególnie uderzyła ją współpraca obywaterek ziemskich z włościankami, czego dowody widziała nietylko w pawilonie na P. W. K., ale również w majątku hr. Kwileckich — Dobrojewie — dokąd ją gościnnie zaproszono. Historia udziału polek w walce o niepodległość przez cały wiek niewoli głęboko wzruszyła p. Eeghen, okazującą zawsze wiele sympatji dla naszego narodu; notowała nazwiska najofiarniejszych bojowników o wolność, prosiła o ich fotografie.

Podczas 5-cio dniowego pobytu w Warszawie zapoznaliśmy pannę van Eeghen nietylko teoretycznie z pracą kobiet na wszystkich polach, składając sprawozdania z działalności sekcij Rady Narodowej Polek (Związku 19 stowarzyszeń kobiecych), a mianowicie: higienicznej, emigracyjnej, opieki nad dzieckiem, prawnej, wychowawczej, zawodowej — lecz dałyśmy jej możność zwiedzenia żłobka, przedszkola, wzorowych szkół powszechnych i średnich, szkoły Higieny, Ośrodka Zdrowia w Amelinie, szkoły pielęgniarek, Domu Akademickich, Szkoły Przemysłu Ludowego na Tamce i innych.

Wysiłki nasze w dziedzinie zdrowia oceniła tak, jak na to rzeczywiście zasługują. Szczególnie zainteresował ją sposób szerzenia zasad higieny przez urządzenie konkursów higienicznego urządzenia domu (Centralny Związek Kółek rolniczych w porozumieniu z państwową szkołą Higieny) oraz organizowanie dla nauczycielstwa kursów higieny przez Państwową szkołę Higieny; natomiast nie mogła zrozumieć, dlaczego niema w Polsce kobiet, zajmujących stanowiska lekarek sanitarnych, chociaż te obowiązki mogłyby spełniać z największym pożytkiem.

W naszym życiu politycznym uderzyła ją niezmiernie mała liczba kobiet w sejmie i senacie i gorąco nawoływała nas wszystkie do podjęcia przy przyszłych wyborach energicznej akcji w celu przeprowadzenia większej ilości kandydatur kobiecych.

Sprawa wykształcenia kobiet musiała również wysunąć się na jedno z pierwszych miejsc w naszych dyskusjach, tembardziej, że panna van Eeghen była delegatką Rady Międzynarodowej Kobiet na tegorocznym kongresie Pedagogicznym w Hadze i w tym charakterze zabierała głos w imieniu 40 milionów kobiet,

zrzeszonych w tej organizacji. Dość trudno było jej wytłumaczyć, dlaczego na tym zjeździe właśnie polka reprezentowała w tej sprawie stanowisko, niezgodne z interesami kobiet i tak odmienne od opinii innych delegatek z różnych państw, tembardziej, że opinia kobiet polskich w tej sprawie, jak p. van Eeghen miała możność przekonać się podczas swego pobytu w Polsce, jest zupełnie jednolita i zgodna z opinią, którą reprezentuje Rada Międzynarodowa.

Zagadnienie opieki nad matką i dzieckiem nieślubnym, tak bardzo u nas żywotne, praca młodocia-

nych, emigracja, sprawa policji kobiecej — były tematem ciekawych dyskusyj i porównań ze sposobem rozwiązywania tych zagadnień w innych państwach.

Cel wizyty p. van Eeghen został osiągnięty: poznała pracę kobiet w Polsce, poznała ich stanowisko w różnych żywotnych sprawach społecznych, przekonała się o wielkim wysiłku, uczynionym przez nas w tak krótkim czasie, a co najważniejsza, zrozumiała, że dobrze pojęty nacjonalizm tylko ułatwić może wzajemne zrozumienie i szczerą współpracę narodów między sobą we wszystkich dziedzinach.

STANISŁAW MACHNIEWICZ

WSZECHWŁADZA STYLOWEJ BRZYDOTY

Z chwilą, kiedy sztuka wzięła rozbrań z życiem i weszła na drogę rozwoju samoistnego, zaczęły się kształtować nowe pojmowania zarówno sztuki, jak i jej stosunku do życia. Nie odrazu uświadomiono sobie doniosłość tego brzemiennego w skutki faktu, nowe bowiem stosunki nastawały powoli, nieznacznie, jakby wysuwane przez chwilę, a podyktowane koniecznością i logiką zmieniającego się nastroju życiowego. Gwałtowny i olśniewający rozwój techniki, która nieustannie wprost chlubiła się nowymi zdobyczami, pociągał za sobą tak szybki wzrost barwności i tempa życiowego, że ludzkość, jakby zahipnotyzowana, nie szła, lecz pędziła z falą i biegiem wypadków i nie znajdowała wprost czasu na zastanowienie nad dokonującymi się zmianami. Równocześnie, z dnia na dzień, łamał się związek sztuki z życiem, zawsze jednak znalazła się usłużna, mądra i natrętna teoria, usiłująca wszystko uzasadnić i usprawiedliwić, choćby nawet i najoczywistszy nonsens.

Pod wpływem tych nowych zjawisk dokonał się podział sztuki na dwa rodzaje: sztuki czystej, wielkiej, którą z biegiem lat wyposażono w głębokie hasło „sztuki dla sztuki” — a więc niesłużącej żadnym celom realnym, tylko jakiejś abstrakcji absolutnej, będącej sama w sobie celem — i sztuki niższego rzędu, utylitarnej, nazwanej sztuką stosowaną lub dekoracyjną. Pierwsza miała być sztuką wielką, nawiązującą do dawnych tradycji, jej przeto twórców wyposażono w metafizycznie ubarwione właściwości, obwołując ich nieledwie magami, kapłanami absolutu, odkrywcami tajemnic i wiele innych przysadzając im właściwości, pięknie, a nadewszystko tajemniczo brzmiących. W istocie jednak ich rola ograniczała się do wykonywania sztuki o ściśnionym zakresie działania, wyłączającym to wszystko, co w dawnych wiekach było treścią i życiem sztuki.

Sztuka stosowana miała pomagać rzemieślnikowi, dostarczać artystycznej strawy pracy maszyno-

wej, jednym słowem, miała się stać lekarstwem na coraz potężniej krzewiącą się brzydotę. Jednak mimo tych usiłowań szlachetnych, lecz poczętych z niezrozumienia istoty dawnej jedności w sztuce — coraz bardziej uwydatniał się rozłam pomiędzy życiem a sztuką. Zjawiska, z tem związane, zaczęły się uwidaczniać w rozmaitych dziedzinach i w rozmaitem nasileniu.

Gwałtowny rozrost miast wymagał niejednokrotnie szybkiej rozbudowy całych dzielnic. Dla uzyskania na ten cel odpowiednich terenów, zwłaszcza w centrum wielkich miast, zaczęto burzyć wszystkie dawne zabytki, przedewszystkiem świeckiego budownictwa: ze szczególną jednak zawziętością zwrócono się przeciw dawnym obwarowaniom miejskim. Niszczono je z zapalem, godnym lepszej sprawy, równano z ziemią bezcennej piękności i wartości zabytki, jedyne w swoim rodzaju, a na ich miejscu wznoszono domy czynszowe, gmachy publiczne, rzadziej — ogrody lub zabudowania fabryczne. Przed tą nagminną gorączką burzenia i budowania nie ostawały się często i świątynie; wprost z zapalem niszczone to, co dawne pokolenia wznosiły nie gwoli nasyceniu się pięknem, lecz ku obronie a bezpieczeństwu własnej. Bez przesady powiedzieć można, że w jednym dziesiątku tego stulecia więcej zburzono dawnych zabytków, niż wybudowano ich w ciągu kilku wieków. Całe miasta średniewieczne znikły z powierzchni ziemi, a na ich miejscu powstawały nowe szeregi ulic prostych, wyciągniętych w rząd żołnierskim ordynkiem.

Nowe życie tak szybko i gwałtownie się rozwijało, że nie było wprost czasu na wyszukiwanie odpowiednich dlań form, rzucono się przeto do szybkiego, łatwego i popłatnego naśladownictwa dawnych stylów. Wytworzyły się więc i bardzo rychło ustaliły pewne konwencjonalne typy. Kościół najchętniej i najpospoliciej wznoszono w stylu gotyckim, rzadziej — romańskim lub barokowym, a już zupełnie nie cieszyły się uznaniem kościoły renesansowe. Wmówiono

w pokolenia, że duchowi religijnemu najlepiej odpowiada styl gotycki, w tym więc stylu budowano za-palczywie i zawzięcie.

Kamienica czynszowa miejska objęła spadek po pałacu renesansowym, usiłując jaknajwierniej zbliżyć się do swego pierwowzoru. Nie brakło też bardziej śmiałych i pomysłowych, jak na owe czasy, architektów, którzy pozwalali sobie i na inne style w budownictwie miejskim: na gotyk, barok, styl maurytański; niekiedy naśladowano nawet średniowieczne zamczyska rycerskie. Z tych elementów powstawały prawie wszystkie miasta, rozbudowane w drugiej połowie wieku XIX.

Z podobnych elementów stylowych składano inne nowoczesne budowle użytkowe, jak dworce kolejowe, teatry, gmachy muzealne, ratusze miejskie, parlamenty i t. p. Tak powstały te wielkie miasta, w których żyć nam jeszcze dzisiaj wypada, pełne przepychu, ale fałszywego, pełne bogactwa, ale udanego, i pełne brzydoty stylowej, ale już prawdziwej.

Odpowiednio do zewnętrznego wyglądu wyposażano również wnętrza domów i mieszkań. Tu także zapanowała naśladowcza manja stylowości. Pokoje mieszkalne, podobne do komnat renesansowych, zaczęto zapelniać meblami znowu o ustalonych cechach stylowych. Potworzyły się typy i schematy. Pokój

stołowy najchętniej i najczęściej meblowano meblami o właściwościach renesansu niemieckiego, salony upodobano sobie rokokowe lub empирове, sypialnie lubowały się w stylach lżejszych, a więc przeważnie w stylu rokoko. Wszystko to jednak były meble fabryczne, wyrabiane masowo, tandetnie, wedle szablonu, z materiałów lichych, ale zato pretensjonalnie zdobione, pełne najniepotrzebniejszych dodatków, ozdób, a często najnieprawdopodobniejsze w pomysłach i konstrukcjach.

Ściany ozdabiano powszechnie obrazami, naśladowującymi autentyczne dzieła mistrzów dawnych, ale także zazwyczaj w odbitkach mechanicznych, drukowanych. Na stołach, półkach i półeczkach różnego rodzaju, wielkości i pokroju, roilo się od najrozmaitszych flakonów, figurek, puzderek i innych wszelakich drobiazgów, często dziwacznych o bardzo niewybrednym guście, ale zato fabrycznie odlewanych w materiałach lichych, ordynarnych, pozornie efektownych, a zawsze bardzo brzydkich. Do tych różnorodnych dziwactw należy dodać jeszcze ogromną ilość wszelakich makatek, draperyj, dywaników, przykryć, portjer i innych ulubionych ozdób, a wówczas będziemy mieli dopiero kompletny obraz przeciętnego mieszkania z przed trzech lub czterech dziesiątków lat.

(d. c. n.)



SPORT A PROPAGANDA ZAGRANICĄ

Każde państwo urabia sobie zagranicą opinię nie tylko przez bezpośrednią politykę zagraniczną, ale także przez szeroko rozwiniętą propagandę, dążącą do zaznajomienia zagranicy z własnym krajem i do wykazania jego wartości i siły.

Różne do tego celu służą środki, jak: prasa, urządzenie wystaw z różnych dziedzin, odczyty, filmy, ułatwianie wycieczek do danego kraju, aby się z nim bliżej zapoznać, i t. d.

W ostatnich czasach na całym świecie rozpowszechnia się sport, i wszystkie państwa interesują się jego rozwojem nie tylko u siebie, ale i zagranicą. Urządzają w tym celu międzynarodowe zawody i imprezy sportowe.

Na takich zawodach przedstawiciele danych państw poznają się ze sobą, a o zwycięzcach danego kraju mówi się potem szeroko na całym świecie.

Niejednokrotnie dopiero po takich zawodach dowiadują się szersze masy o istnieniu państwa, nowopowstałego po wojnie światowej. Dlatego sport możemy również uważać, jako jedną z gałęzi propagandy zagranicą. Bierzemy przecież udział w zawo-

dach międzynarodowych, a nasi przedstawiciele niejednokrotnie zajęli pierwsze miejsca.

Sport kobiecy, który w ostatnich czasach bardzo się rozwinął, przyczynił się również do zainteresowania się nami poza granicami kraju, gdyż dzięki zwycięstwom, odniesionym przez nasze dzielne rodaczki, dowiedziano się o nas w Anglii i Ameryce. Tam dotychczas niebardzo się orjentują, czy należy my do Niemiec, czy do Rosji, czy też jesteśmy samodzielnym państwem. Można się zagranicą spotkać nawet z takim naiwnym pytaniem: „jak właściwie u was się mówi: po rosyjsku, czy po niemiecku?”.

Takie jednak sukcesy, jak zwycięstwo na Olimpiadzie, odniesione przez p. Konopacką, lub na międzynarodowych zawodach narciarskich — przez p. Polankową, uświadomiły choć trochę inne narody, że jesteśmy państwem samoistnym, z którym należy się liczyć poważnie.

Jak może sport przysłużyć się propagandzie przykładem niech będzie ostatnie zwycięstwo wioślarek warszawskich nad wioślarkami angielskimi na regatach międzynarodowych, które odbyły się

w ostatnich dniach w Warszawie. Anglja, pewna zwycięstwa swojej osady reprezentacyjnej, była zaskoczona jej przegraną. Pomimo to prasa angielska wyraziła się o nas z uznaniem, stwierdzając, że z Polską należy się liczyć poważnie, gdyż państwo, które zaczyna zwyciężać w sporcie, potrafi zwyciężyć i w innych dziedzinach. Jako dalszy przykład, niech posłużą listy, przysłane przez wioślarki angielskie do W. K. W. (Warszawski Klub Wioślarek). Oto wyjątek:

„Serca nasze zostały w Polsce. Nigdy nie przypuszczałyśmy, że Polska jest krajem tak pięknym i kulturalnym. Przed wyjazdem straszono nas waszą zarożumiałością, pewnością siebie i brakiem kultury. Teraz tutaj, na skutek zainteresowania waszym zwycięstwem, zmuszone jesteśmy wygłaszać referaty o was i o waszym kraju. Referaty mamy po klubach, gdzie głosimy o waszej gościnności, serdeczności; o tem, że jesteście państwem prawdziwie europejskiem, a wszystkie fatalne opinie, które o was słyszałyśmy, są oszczerstwem, chyba celowo rozsiewanem przez waszych wrogów. Z waszej ojczyzny wyniosłyśmy wielkie i niezapomniane wrażenie! Tę-

sknimy za wami i chciałobyśmy znowu jak najprędzej zawitać do was, do waszej milej ojczyzny“.

Korespondencja między naszymi wioślarkami a angielskimi trwa nadal; zasypują nas sążnistymi listami, a na zakończenie piszą po polsku: „Czołem!“.

Angielki wyniosły od nas nietylko znajomość słowa „czołem“: po regatach otrzymały od naszych wioślarek znaczki klubowe, których noszenie w Anglii nie jest znane. Zwyczaj ten tak im się podobał, że po powrocie do Londynu wprowadziły u siebie znaczki klubowe, a inne kluby poszły za ich przykładem.

Z powyższego widzimy, jak wielkie znaczenie ma rozwój sportu nietylko dla wyrobienia tężyzny i hartu, ale i dla propagandy zagranicą. Narody poznają się, zaprzyjaźniają, co częściowo wpływa również i na politykę. Nie powinniśmy więc pomijać żadnej okazji, aby dać się światu poznać; musimy dowieść, że jesteśmy państwem, z którym należy się liczyć, że stoimy na takim samym stopniu kultury, jak i kraje zachodnie, i nie jesteśmy barbarzyńcami. za jakich tam nas mają.

M. K.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Inauguracja sezonu w Filharmonji. — Wieczór Ady Sari. — Recital fortepianowy Egona Petri.

Wielkie koncerty symfoniczne w Filharmonji zaczęły się pod znakiem, który, niestety, nie wróży najlepszej przyszłości ruchowi muzycznemu, tembardziej, że zapowiedź następnych koncertów nie jest nawet na poziomie inauguracyjnego.

Program pierwszego koncertu obejmował jedynie utwory polskie. Nazwisko solisty — Zygmunta Stojowskiego, który odegrał swój koncert fortepianowy, posiada niewątpliwie zasłużoną sławę, a Jerzy Bojanowski cieszy się opinią dyrygenta pracowitego i zamiłowanego w sztuce.

O Zygmuncie Stojowskim dochodziły nas dotąd wieści ze świata, a głównie echa z za Oceanu, gdzie artysta miał największe powodzenie; poznaliśmy go odrazu, jako pianistę i kompozytora. Koncert As-dur, napisany podobno dla Paderewskiego, miał zagranicą najlepszą interpretację solową i orkiestrową. Jednakże part fortepianowy daje soliście niewielkie pole do popisu. Kompozycja Stojowskiego, o ładnych, pełnych sentymentu motywach słowiańskich, jest trochę rozwlekła w przeprowadzeniu tematów i warjacji.

Wartości orkiestrowe, które przeważają w tym koncercie fortepianowym, wyszły u nas bardzo blado i nudno pod dyрекcją Bojanowskiego, który najwi-

doczniej nie przygotował należycie orkiestry. Nazwisko Bojanowskiego dawało dotychczas gwarancję pracowitości, ale pozatem jego dyrekcja nie jest stanowczo na poziomie artystycznym, który reprezentować powinna pierwsza polska placówka koncertowa. Dlatego inauguracyjny koncert był wieczorem pustki i nudy.

Jeśli otwiera się sezon w Filharmonji pod gołdem polskiej twórczości, należy te utwory wybrać jak najstaranniej i dać im możliwie najlepszą oprawę, aby przekonać wreszcie nawet niechętną publiczność do rodzimej muzyki. Polska reprezentuje bowiem zagranicą czołowe stanowisko w świecie artystycznym — odtwórczym, a i w literaturze muzycznej posiada niejedno dzieło bardzo wartościowe. Ale decydujące czynniki nie pomyślały o tem, jak ważną rzeczą jest otwarcie sezonu. Zamiast ożywienia w ruchu muzycznym, życie koncertowe zaczęło się ospale.

Huczny i grubo instrumentowany „Chmielek” Wiechowicza, odegrany pod dyрекcją kompozytora, ma rytmikę wyraziście polską, ale nie ujętą w formę artystyczną. Należy pamiętać, że kontrafagot, źle użyty, jest efektem odrażającym. Jedynie bardzo wartościowym utworem w programie pierwszego kon-



Ada Sari.

certu była suita Czesława Marka, znana nam chlubnie od kilku sezonów.

Nieprzyjemnie jest referować rzeczy nieudane, daleko milej i chętniej pisze się o wieczorach, których się nie uważa za stracone. Ady Sari słucha się zawsze z największą przyjemnością, nawet kiedy śpiewa na estradzie i ogranicza swój wielki, piękny głos do minjaturowej formy pieśni. Ada Sari jest najlepszą śpiewaczką polską: jej królestwem jest opera, w której, niestety, nigdy prawie nie śpiewa w Warszawie z przyczyn, od niej niezależnych. Ale wtedy dopiero występuje olbrzymia skala jej głosu, o najszlachetniejszym brzmieniu i niezrównanej technice koloraturowej, szczególnie w tonach fletowych.

Na wieczorze swoim w Filharmonji Sari czarowała publiczność programem aryj i pieśni polskich i obcych.

Egon Petri ma ustaloną sławę, jako pianista „o palcach ze spiżu”. U tego świetnego artysty podziwia się przede wszystkim opanowanie techniczne, jędrne uderzenie i wytrzymałość lewej ręki, niezmordowanej w oktavach. Doskonale interpretuje Petri chorały Bacha i fugi. Sonatę Beethowena „Hammerklavier” ujmuje Petri po swojemu. Bierze w pierwszej części zawrotne tempo, aby dać popis błyskotliwości gry, a w drugiej broni się przed romantyzmem frazy muzycznej. W grze Petriego zatraca się koronkowa precyzja francuskich utworów Debussy’ego i

Ravela. Zato w utworach klasycznych porywa Petri siłą, temperamentem i techniką.

W każdym razie, trzeba przyznać dyrekcji H. Markiewicza, że dba więcej o sławę swojej imprezy aniżeli dyrekcja Filharmonji.

P. Ł.

Z TEATRÓW

TEATR „ATENEUM”.

„Hinkemann” — sztuka w trzech aktach Ernesta Tollera w przekładzie Dr. Leona Feinera. Przygotował scenicznie Artur Socha. Dekorator: Jewniewiczowa Wanda.

Że przejawianie jest niebezpieczne dla każdego problemu, przekonaliśmy się raz jeszcze na sztuce Tollera: „Hinkemann”. Stało się bowiem tak, że prawdy, z którą już nikt się nie spiera, prawdy o okrucieństwie wojny trudno było wysłuchać bez najwewnętrzniejszego protestu przeciw formie, w jakiej nam ją podał niemiecki autor. Można jedynie przypuścić, że Toller chce wybijać klin klinem i sadyzmem swoich pomysłów nie tyle przerazić, co porazić słuchaczy.

Autor „Hinkemanna” wybrał więc drastyczny motyw, ukryte kalectwo, najsilniej przetwarzające psychikę mężczyzny, wybrał nieszczęście niemal groteskowe i uczynił z niego zagadnienie, medające się właściwie pomieścić w żadnej formie społecznej, w żadnej zapobiegawczej akcji humanitarnej. Inwalidztwo Tollerowskiego bohatera musi zostać osobistym nieszczęściem bez względu na to, czy spowodowała je kula nieprzyjaciela, czy też jakikolwiek przypadek.

I dlatego sądzę, że Toller zamierzał raczej upomnieć się w swojej sztuce o jednostkę ludzką, aby wykazać, że nie tylko społeczeństwo, jako gromada, ma swoje obrachunki ze zbrodniczą wojną. Poszczególne człowiek, przez wojnę najdotkliwiej skrzywdzony, jest właściwie najoczywistszym argumentem przeciw wojnie, bo na indywidualnym cierpieniu, jak na przykładzie, tłumaczącym regułę, lepiej uwydatnia się okrucieństwo wojennej sprawy.

Nieszczęście Hinkemanna obrasta akcją, rozmieszczoną na kilku planach. Na najbliższym planie jest, oczywiście, sam Hinkemann, którego dolę poznajemy już w pierwszym obrazie. Ale tajemnica dwojga ludzi, ta tajemnica bodajże tylko albowiana, nie wysłaby za drzwi domu, nie stałaby się ani widmowym snem kalek, ani dyskusyjną rozgrywką społeczną, gdyby źródłem krzywdy nie była wojna. W ten sposób sprawa psychologiczna, która mogłaby się pomieścić w ramach kameralnej sztuki, rozrasta się chwilami w misteryjne widowisko, symbolizujące zagadnienia ogólnoludzkie.

Duchowemi perypetjami takich inwalidów, jak Hinkemann, zajmowała się już literatura, a Hamsun napisał na ten temat przepiękną powieść: „Kobiety u studni”, ale za bohaterem Hamsuna nie stała wojna, gdy Toller całym kompleksem ludzkich nieszczęść godzi jedynie w wojnę. Wojna jest celem, a jaskrawość przykładu posiada uzasadnienie w tendencji. Toller przeciągnął jednak strunę i dlatego jego jaskrawe symbole nie oświełają, lecz oślepiają. Psychoza powojenna odbywa tu historyczne orgje, smakuje w krwi, zachłystuje się pesymizmem, stwarza sytuacje bez wyjścia. Brutalność autora stępią wrażliwość słuchaczy i w rezultacie zamiar autora chybia celu. Dochodzimy bowiem do wniosku, że beznadziejność takiego odczuwania powojennej rzeczywistości tkwi nie tyle w proteście przeciw wojnie, co w sprzeczności przeciw wojnie — przegranej.

Wielkie rozczarowanie, które przeżył naród niemiecki, musiało bowiem spowodować gruntowną rewizję pojęć. Pierwszym etapem w tej rewizji była — negacja, był bezprzytomny

belkot, który dopiero zwolna formował się w krzyk. Toller jeszcze belkoce, chaos jego myśli jeszcze się nie przeobraził w krzyk. Jego sztuka jest bezładną zbieraniną publicystyki i niezgłębionych dostatecznie problemów, jest mieszaniną humanitaryzmu i sadyzmu, jest psychologicznym nieprawdopodobieństwem. Stąd też wynika brak umiaru artystycznego, to niepanowanie nad sobą, nad tematem. Autor tak bardzo nas zniechęcił katowskimi metodami, tak nas wytortuował swoją makabryczną fantazją, że nawet dwie dobrze pomyślane sceny: sen Hinkemanna i dyskusja w szynku — nie mogły nas zjednać dla jego twórczego wysiłku.

I tak się stało, że chociaż zasadniczo godzimy się na jego antywojenną tezę, nie wzbogaciliśmy się jednak ani o argumenty, ani o indywidualnie pojętą litość. Coś innego w nas poszarpał, czemś innym sponiewierał naszą wrażliwość — oto brakiem estetyki i artystycznym nietaktem.

Dyrekcja teatru Ateneum ma więc tę winę na sumieniu, że sztukę wprowadziła do swojego repertuaru. Poza tem spełniła swoje zadanie, wyposażając sztukę w dobrych aktorów, wśród których Artur Socha, jako Hinkemann, okazał się artystą wysokiej klasy. Niespółmierna z talentem Sochy rola wzbierała prawdą i dla kreacji Sochy warto sztukę zobaczyć. Dekoracje Jęwniewiczowej bardzo udatne, zwłaszcza ulica w nocy.

Herminja Naglerowa.

Kobieta w świecie i w domu

HOLD AMERYKI DLA CURIE-SKŁODOWSKIEJ.

Na wspaniałym statku transoceanicznym „Ile de France” wyjechała do Ameryki Marja Curie Skłodowska. Pani Skłodowska otrzymała od prezydenta Stanów Zjednoczonych Hoovera zaproszenie przybycia, jako gość Białego Domu, dla odebrania osobiście nowego daru Ameryki — 1 grama radu.

Przed kilku laty kobiety amerykańskie zebrały 110.000 tysięcy dolarów i zakupiły pierwszy wyprodukowany wówczas gram radu, ofiarowując go wielkiej uczoniej. Rad ten został przez p. Skłodowską podarowany Warszawie. Obecnie Ameryka składa poraz drugi naszej uczoniej cenny podarek.

UCZONA POLSKA ZARYZYKOWAŁA ŻYCIE DLA WIEDZY.

Prasa amerykańska rozgłasza szeroko nazwisko uczoniej polki, dr. Bronisławy Fejgin z Warszawy, która dokonała odkrycia bakcyła tyfusu plamistego. Dr. Fejginówna wygłosiła ostatnio wobec profesorów uniwersytetu w Michigan odczyt o metodach swej pracy. Wyhodowawszy bakcyll, zaszczerpiła go początkowo świnkom morskimi, które, zarażone nim, wyzdychały na tyfus. Pomimo tego, dzielna, młoda lekarka poddała się sama temu groźnemu szczepieniu, po którym zapadła na tyfus. W ten sposób okazało się niezbicie, że odkryty bakcyll jest zarazkiem tyfusu plamistego.

UCZMY SIĘ GOSPODAROWAĆ RACJONALNIE.

Sekcja gospodarstwa domowego przy Instytucie organizacji pracy, Wydział gospodyń C. T. R., Stow. Ziemianek, Wyższa Szkoła Gospodarcza w Chyliczkach i Koło Studjów Gosp. domowego — przystępują do zorganizowania Instytutu Gospodarstwa domowego w Warszawie.

Program prac w Instytucie będzie następujący: 1. Bada-

nie racjonalnych metod pracy domowej. 2. Nauczanie w formie kursów gospodarstwa domowego, o różnym poziomie odczytów, księgozbiór fachowego i czytelnego. 3. Poradnia w zakresie wykształcenia gospodarczego, urządzenia i prowadzenia domu. 4. Doświadczenia techniczne i praktyczne ze wszystkich dziedzin gospodarstwa domowego i wypracowywanie wzorów. 5. Wzorównia sprzętów, urządzeń, planów mieszkań. 6. Doświadczalnia spożywcza: wypróbowywanie i wydawanie przepisów kuchennych. Ocena wydawnictw z przepisami.

Wobec ogromnego rozwoju techniki i organizacji gospodarstwa domowego zagranicą, pozostaliśmy, niestety, bardzo opóźnieni, to też nowa instytucja budzi łatwo zrozumiałe zainteresowanie. Instytut zostanie utworzony na zasadzie kooperatywy społecznej, z udziałów 100 złotych, które będą mogły być wnoszone ratami.

Informacji udziela i przyjmuje zapisy komisja organizacyjna Instytutu w lokalu Stowarzyszenia zjednoczonych ziemianek: ul. Marszałkowska 149 — we środy i czwartki, w godzinach od 12 — 15 i w piątki, w godzinach od 17 — 18-ej. Biuro wydziału gospodyń: Kopernika 30, od 12 — 2 codziennie.

PIERWSZA W POLSCE BURMISTRZYNI.

Od dłuższego już czasu zapanował w Anglii zwyczaj mianowania kobiet na stanowiska burmistrzów miast. Jest ich obecnie 11 i prasa kobieca chlubi się temi „lady mayoress”, które wykazują mądrą i energiczną działalność na swych stanowiskach. W Polsce nie było jeszcze dotychczas żadnej „burmistrzyny”, choć wiele mamy dzielnych radnych. Obecnie sytuacja się zmieniła: miasto Chęciny pierwsze wybrało na burmistrza, kobietę, p. Kwiatkowską. Jednym z pierwszych zamierzeń nowej burmistrzyny jest wybudowanie w Chęcinach wzorowej rzeźni i szkoły powszechnej.

ŚLUBY CYWILNE, ZAWARTE ZAGRANICĄ, SĄ WAŻNE W POLSCE.

Sąd Najwyższy orzekł, iż na mocy ustawy o międzynarodowych stosunkach prywatnych, opartej na zasadach prawa prywatnego konwencji haskich, śluby cywilne, zawarte zagranicą według praw danego kraju (np. Francji, Włoch i t. p., gdzie śluby cywilne obowiązują), są ważne w Polsce.

ROZWÓJ TKACTWA W WILNIE.

Wileńskie Towarzystwo popierania przemysłu ludowego organizuje pod kierownictwem swego prezesa — p. Lichtarowicza — i zasłużonej pionierki tkactwa ludowego — p. Mohłówny — nowe kursy tkackie w Wilnie. Kursy te będą dostępne zarówno dla wieśniaczek, jak i dla kobiet z inteligencji, pragnących pracować w tej dziedzinie, zawierającej niewyczerpane źródła artyzmu i warunki świetnego rozwoju materialnego.

POWODZENIE KURSÓW PIELEŃNIARSKICH.

Z inicjatywy Tow. Czerwonego Krzyża, przy współudziale Kasy Chorych i Magistratu, zorganizowano w Łodzi trzymiesięczny kurs przeszkolenia dla pielęgniarek. Napływ kandydatek był tak wielki, że zaledwie połowę można było przyjąć.

MOŻE BĘDĄ LEPSZE SŁUŻĄCE.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej przystępuje do likwidacji prywatnych biur pośrednictwa pracy dla służby domowej. Od 10 grudnia r. b. można będzie godzić służące tylko w państwowych urzędach pośrednictwa pracy. Trzeba mieć nadzieję, że zmiana ta odbije się korzystnie na materiale służbowym, który w kantorach prywatnych był w ostatnich czasach b. nieciekawym, i zapewni paniom domu większą możliwość dostania wykwalifikowanej służącej.

ZAKAZ MAŁŻEŃSTW NIELETNICH W INDJACH.

Barbarzyński obyczaj, panujący od wieków w Indjach — zawierania małżeństw między małymi dziećmi — został narazie zniesiony. Zgromadzenie ustawodawcze w Simli uchwaliło zakaz ślubów dzieci, określając jako najniższy wiek wstępowania w związki małżeńskie 14 lat i to tylko za specjalnem pozwoleniem, ogólnie zaś — lat 16-cie. Jest to wielkie zwycięstwo, odniesione dzięki agitacji kobiet hinduskich i angielskich.

TRIUMF KOBIET RUMUŃSKICH.

Rumunki odniosły wielkie zwycięstwo: parlament rumuński uchwalił prawo wyborcze czynne i bierne dla kobiet. Dopuszczone zostają do samorządów wiejskich i miejskich, oraz do ciał ustawodawczych obywatelki, mające 21 lat, które: ukończyły szkołę powszechną lub szkoły zawodowe, urzędniczek rządowe i komunalne, wdowy po poległych na wojnie, kobiety posiadające odznaczenia i order, oraz te, które w chwili ogłoszenia nowej ustawy stoją na czele instytucyj i stowarzyszeń kulturalnych, społecznych, oświatowych i dobroczynnych.

Pierwsze wybory, w których wezmą udział nowe wyborczynie, odbędą się w listopadzie r. b.

Jedną z cech ruchu kobiecego w Rumunii jest jego błyskawicznie szybki rozwój. Przed 10-ciu laty sprawa kobieca w Rumunii nie istniała. Natomiast po wojnie powstało stowarzyszenie kobiece polityczno-społeczne „Solidarność” i rozwinęło od razu akcję, obejmującą wszystkie kulturalne kobiety w kraju. Przewodnicząca stowarzyszenia — ks. Kantakuzen — położyła olbrzymie zasługi w ruchu kobiecym swego kraju i słuszenie może być dziś dumna z jego rezultatów. Nie otrzymały wprawdzie rumunki zupełnego zrównania praw z mężczyznami — powszechnego głosowania — ograniczono ich prawa głównie ze względu na stosunki wiejskie, gdyż włościanie rumuńscy są zaciętymi przeciwnikami udziału kobiet w życiu publicznem; jest to jednak już tylko sprawa czasu. Z chwilą wejścia kobiet do samorządu i do parlamentu, można, wobec energii społecznej rumunek, przewidywać szybkie oświecenie i uspołecznienie elementu wiejskiego i rozszerzenie praw politycznych na ogół kobiet.

Obywatelkom zaprzyjaźnionego narodu składamy na tem miejscu serdeczne życzenia owocnej pracy.

KOBIETA — KOMISARZEM RZĄDOWYM.

Dr. Oda Neybour mianowana została komisarzem rządowym Styrii. Jest to pierwsza w Austrii kobieta na tem stanowisku.

SŁUŻĄCE NIEMIECKIE ZYSKAJĄ POWAŻNE UDOGODNIENIA.

Do parlamentu niemieckiego wpłynął projekt rządowy, wprowadzający doniosłe zmiany w jednym z poważnych działów gospodarstwa domowego — prawo o służbie domowej.

Dzienniki niemieckie nazywają je powszechnie „Wielką kartą wolności służby domowej”. Istotnie bowiem dotychczas ochrona pracy obejmowała głównie robotników fabrycznych i rolnych — służba domowa pozostawała poza jej opieką.

Na pierwszy plan zagadnień społecznych wysuwa się w tym rządowym projekcie sprawa opieki nad matką nieślubną. *Nie wolno będzie mianowicie usunąć służącej z powodu zajścia w ciążę, lub urodzenia nieślubnego dziecka*, przeciwnie: pracodawcy obowiązani będą do dania jej 4 tygodniowego płatnego urlopu przed i 2 tygodniowego po porodzie.

Pozatem unormowano sprawę godzin pracy. Była to kwestja trudna, w Niemczech obowiązuje bowiem, jak i u nas, 8-io godzinny dzień pracy, a najżarliwsi nawet obrońcy tego systemu uznać jednak musieli, że jest on w pracy domowej nie do wprowadzenia. Wobec tego określono tylko „godziny snu”: dla

służących dorosłych, najmniej 9 godzin na dobę, dla nieletnich, do lat 18-u — 10 godzin; pozątem 4 godziny tygodniowo na kształcenie i popołudnia niedziel i świąt od godz. 5-ej na odpoczynek i rozrywki.

Drugą, trudną do załatwienia sprawą było odżywianie i mieszkanie dla służącej — te elementarne wygody życiowe są bowiem zależne od niezmiennie różnorodnych warunków materialnych samych pracodawców. Poprzestano więc teoretycznie na wskazaniu, aby służące były higienicznie i dostatecznie odżywiane i możliwie umieszczone w mieszkaniu pracodawców, w praktyce zaś kontrolę nad temi warunkami obejmą inspektorki pracy (wyłącznie kobiety). Nazwa „służącej” zamienną zostanie na „oficjalistkę domową”, a książeczki służbowe — na karty tożsamości z fotografią.

Służąca ma prawo odmówić wyjazdu z pracodawcami na czas dłuższy i pielęgnowania chorych w domu: nie wolno jej jednak opuścić służby u pani, będącej w ciąży, lub wkrótce po porodzie.

Pracodawczyni przysługuje prawo kontroli, jak służąca spędza czas i jakie ma towarzystwo, lecz prawo to dotyczy tylko służby do lat 18-u.

NOWE HASŁO MĄDREJ KOBIETY.

Przewodnicząca Międzynarodowej Ligi Praw Wyborczych Kobiet — p. Corbett Ashby — jest osobą, obdarzoną dużą werwą i dowcipem. Kiedy raz powtórzył ktoś przy niej znany aforyzm: kobieta, wino, śpiew — Mrs. Ashby rzekła: „Teraz się to zmieniło, teraz mówić musicie: kobieta, pokój i ludzkość”.

KOBIETA, KTÓRA OBLICZYŁA SWOJĄ PRACĘ.

Jedna z wieśniaczek szwajcarskich zadala sobie trud wykazania w cyfrach swej 30 letniej pracy w gospodarstwie. Upiekła ona w tym okresie czasu 25,400 chlebów i 7,890 placków i ciastek; usmażyła 5,950 kilo konfitur, 2,400 kilo konserw; wyprodukowała 1000 litrów wina i 2000 litrów soku; ususzyła 29,850 kilo owoców. Zwykłych posiłków dla domowników przygotowała w ciągu lat 30-u 56,990, oprócz 90 większych przyjęć, 30 obiadów, 4 uczt weselnych i 9 chrzcin. Porządki domowe zajęły jej 43,680 godzin.

Wychowała jeszcze w tym czasie 2,880 kur i 180 świń, którym 131,000 razy przyrządziła pożywienie. Spędziła 9,600 godzin na targu, gdzie sprzedawała za 78,000 tys. fr. produktów spożywczych, w tem za 15,000 fr. jaj.

Ale to jeszcze nie wszystko — należy dodać uszycie 494 kobiecych i męskich ubrań, 200 dzieciennych, 152 koszul i zrobienie 224 par pończoch.

Ale i to nie wszystko. Wieśniaczka ta, pracując wspólnie z mężem na roli przez lat 9, obrobiła w tym czasie 22 hektarów pola.

Oprócz wszystkiego, wychowała jeszcze pięcioro dzieci!

OD REDAKCJI

Wszystkie drobne rękopisy, których odbiór osobisty lub drogą korespondencji nie jest zastrzeżony, ulegają zniszczeniu. Rękopisy większe (powieści, artykuły, nowele) będą odsyłane jedynie po otrzymaniu przez Redakcję znaczków pocztowych w odpowiedniej ilości. W innych wypadkach będziemy odpowiadać w rubryce „Odpowiedzi Redakcji”. Z tego względu prosimy o zaznaczenie przy rękopisie, pod jakim nazwiskiem (iniciałami, pseudonimem) ma być udzielona odpowiedź.

Listy w sprawach redakcyjnych (prośby o informacje, rękopisy) powinny mieć na kopercie napis Redakcja i nie mogą zawierać żadnych spraw, związanych z Administracją, (prenumerata, zmiana adresu i t. p.), do której wszelkie zgłoszenia kierować należy osobno.

W NASZYCH OGRODACH

W tym ciężkim roku klęski, jakiej podległy ogrody i ogródki nasze, w rewji strat i możliwości na przyszłość musimy baczenie się przyjrzeć, co da się ocalić lub zużytkować.

Gdy w poprzednich latach sprawa konfitur i marmelad na zimę była igraszką, bo dowolne ilości konserw zależały wyłącznie od kilogramów cukru, które mieliśmy do rozporządzenia — w tym roku klęski wysilamy głowę, z czegoby usmażyć konfiturę, bo wszakże owoców niema, nawet tam, gdzie ocalały drzewa, a te, które są na rynku, cenami swemi obciążają niepomierne normalny budżet domowy.

Przyjrzyjmy się naszym ogródkom. Widzę morwy. Mam ich niewiele: trzy zaledwie, ślicznie ozdobne, rozpięte, jak parasole; za lat niewiele utworzą mikroskopijne altanki. Oczywiście, jak już wszystkim wiadomo, nie wymarły w tym roku, a że pokrywają się w lipcu jagodami czarnymi, w postaci maliny, które zawsze ze smakiem zjadaliśmy, więc, o ile te jagody nie są przeznaczone na zbieranie nasion morwowych, można je smażyć: są bardzo delikatne w smaku, bez porównania wytworniejsze od młdej ostrężyny. Na kilo morwy dać jedną cytrynę.

Oczywiście, że jest to rada na rok przyszły, który także będzie ubogi we wszelkie owoce. Często w małych parkach prywatnych między krzewami, obrastającymi oparkaniem, znajdują się morwy zwykle i białe. Proszę na owoc ich zwrócić uwagę.

Natomiast zupełnie aktualną i godną największego spopularyzowania i poparcia na naszych podmiejskich piaseczkach, na których budujemy gwałtownie wille, domy i domki, jest róża (rosa rugosa). Rozrasta się w wielki krzew, pokryty gęstwą gałęzi o liściach ciemno-zielonych, rurkowatych, uzbrojonych w mnogie drobne kolce. Gdy zacznie kwitnąć z wiosną, wielką pięciopłatową różą koloru białego lub czerwonego, kwitnie dosłownie całe lato; jeszcze we wrześniu widzimy rozkwitłe róże, które wypełniają powietrze delikatnym, przejmującym zapachem, zamieniając się jesienią w wielkie, czerwone owoce, zdobiące wspaniale nasze krzaki.

Rosa rugosa wcale nie ucierpiała od mrozów, należy się jej więc największe w naszym klimacie zastosowanie; rozrasta się szalenie szybko, tak, że należy ją przycinać, ograniczać jej rozgałęzienie, poprostu, poskramiać ją w zaborności miejsca i to właśnie na piaskach! Jest nieoceniona, jako ozdoba chudych, podmiejskich ogródków i, co najważniejsze w naszej nędzy owocowej, owoc jej cudny, czerwony, przypominający mały pomidorek — to świetna, niedająca się z niczem porównać konfitura.

Należy je zbierać po pierwszych przymrozkach, starannie oczyścić z nasion, ułożonych w ostrych, włóknistych wyścielinach, i smażyć normalnie, jak

każdą konfiturę, na syropie już przegotowanym. Można także robić przepyszne powidelka, biorąc, jak normalnie, mniej cukru. Do konfitury dodać cytryny. Kto raz tę konfiturę usmaży, uzna ją za jedną z wykwintniejszych.

U mnie, na piasku mulkowym, rosa rugosa zajęła spore przestrzenie; nie przeszkadam tej okupacji, ciesząc się jej głęboką zielenią, cudnym zapachem przez całe lato, kwitnie bowiem na zmianę bez przerwy aż do jesieni. Powiadają również, że owoce rosy rugosa, suszone i naparzone, są lekarstwem przeciw artretyzmowi. Mam amatorów, którzy specjalnie przychodzą zbierać je na lekarstwo.

Zaszkodzić nie może ta śliczna, wonna i smaczna róża, a może i leczy. Tak mało jeszcze znamy lecznicze własności roślin, na naszą oczywiście szkodę! Siejmy zatem, sadźmy, suszmy i jedzmy wdzięczną, śliczną rosę rugosę. Aha! Ma jeszcze jedną zaletę. Nie trzyma się jej robactwo. Lubią ją zato żuki, widocznie dla woni i słodczy. Obsiadają ją obficie, w szczególności te zielone, skarabeusze, a ponieważ jest krzewem i nie powinna przerastać wysokości człowieka, łatwo bardzo zbierać na niej i tępć wroga naszych sadów. U nas rok rocznie zbiera się ich na rosie rugosie parę litrów — od maleńkich brązowych żuków do zielonych skarabeuszy, nie wyłączając chrabąszczy.

I jeszcze jedna konfitura z własnego ogródka. Nie wymarzała leszczyna. Nawet trochę owocowała. Orzeszki, smażone na miodzie — to przysmak. Lepiej się konserwują, niż w stanie naturalnym, i z miodem stanowią wyborną odżywkę.

Reformujmy więc nasze ogrody i ogródki w duchu największej wytrzymałości roślin na mrozy, które przecie mogą się powtórzyć. Z bolesnej lekcji, jaką otrzymaliśmy w tym roku, należy koniecznie wyprowadzić konsekwencje i dostosować się do nowych warunków.

M. M. S.



Oda do pazurków.

Paznokietki różowe, rąk białych ozdoba,

Skąd siła uroku w was taka?

— Wiadomością najchętniej podzielim się z Tobą:

To emalja „MIAFLOR“ od Żaka...

206



Według akwareli Zygmunta Wierciaka

STROSZKA

Nazywają ją u nas powszechnie sową.

Chociaż nie powszechnie, bo np. we Wschodniej Małopolsce zwą ją wzgardliwie „marymuchem“ (z ruska = muchomor) i miażdżą butem ten wyśmienity kotlet, prawdziwie godny pańskiego stołu!

— Ou, aż tak?! — słyszę pomruk rozciekawienia się Szanownych Pań.

Ale, co to jest „stroszka“? Bo wyraz to w słownictwie polskim nowy, a traci — straszylem.

Z podpisu autora domyślają się już Panie, że to grzyb.

W metryce naukowej nazwisko jego rodowe „Lepiota“, co urebiono z greckiego „lepis“ = łuska, piórko odstające, kosmyk i t. p. A więc grzyb, pokryty odstającymi łuskami. Ponieważ zaś łuski te są jasnobrunatne, a całe zresztą tło szarawo-białe, ponieważ kapelusz tego grzyba jest kulisto wypukły, lekki i pulchny, jak gdyby z waty, albo z piór, przeto usta ludu dały mu nazwę „sowy“, bo rzeczywiście, z dalsza zwłaszcza, młodą sowę przypomina.

Naukowe słownictwo polskie nadało mu nazwę „parasolowiec“, nie tyle dlatego, iż grzyb ten naprawdę bardzo przypomina misterną jakąś japońską parasolkę, ile że nazwę tę zapożyczono u Niemców, którzy zwą go „der Parasolpilz“. Słownictwo naukowe jednak winno się trzymać — zdaniem moim — nazw

pierwotnych, nadanych przez odkrywcę danego gatunku; stąd nazwę „stroszka“ uważam za odpowiedniejszą, niż „parasolowiec“, tembardziej, że wygodniejsza i przystępniejsza dla popularyzacji i bardziej odpowiada — bardziej nawet, niż „sowa“ — charakterowi grzyba.

Tej tu zaś naszej stroszce, której podobiznę według ślicznej akwareli krakowskiego artysty p. Zygmunta Wierciaka jr. dołączam, na imię „procera“, co znaczy: wyniosły, strzelisty. — Znow nauka polska wybrała miano brzydsze, zwąc grzyba tego „parasolowcem wyniosłym“. Ja zaś wolę „stroszkę strzelistą“, choćby dlatego, że tyle w mianie syczących, szeleszczących raczej sylab, odpowiada lepiej owemu grzybowemu pióropuszu, co wzięty w ręce, szeleści, jakby był z papieru. Gdziekolwiek w Polsce zwą go jeszcze „kanią“ lub „deszczochronem“... szkoda, że nie w kaloszach!...

Ale żart bardzo na miejscu! Bo, jeśli się uważnie przypatrzymy muchomorowi, to zobaczymy, że on stoi — w kaloszu. Noga jego bowiem, czyli trzon, najwyraźniej obuty jest w białą pochwę, odstającą od bulwiastej nasady muchomora. Oczywiście — nie każdego. Bowiem zwykły muchomor czerwony ma ową pochwę szczelnie przystającą do bulwiastej nasady trzona w postaci kilku brodawkowanych pierścieni.

Weźmy jednak „śmierć leśną“, owego strasznego truciela ludzi, muchomora bulwiastego białego (podobnego do pieczarki) lub zielonawego (podobnego do zielonki, zieleniatki), a przekonamy się, że są one wyraźnie obute.

I to ważne ogromnie do odróżnienia muchomora od stroszki, która nie ma pochwy ani odstającej, ani narosłej w postaci brodawkowanych pierścieni, lecz jedynie nasadę trzonu silnie cebulowatą, gładką.

I dlatego stroszka strzelista nie należy do muchomorów, lecz do stroszek, które w systematyce grzybów tworzą rodzaj odrębny, praktycznie odznaczający się tem, że niema wśród stroszek ani jednego gatunku trującego.

— Cóż to wszystko jednak ma wspólnego z obiecany kotletem?

Darujcie Panie, ale przecież musiałem nowicjusza przedstawić, tem bardziej, że nie wchodzi on do salonu, lecz do kuchni, gdzie zwłaszcza z nowicjuszami ostrożność nie zawadzi!

Zatem stroszka strzelista jest grzybem jadalnym. Zrazu na miejscu jego owocowania wyłazi z ziemi — rzekłbyś — palka do bębna: maczuga o główce brunatnej, zwykle gęsto poprzecznie popękanej. Palka szybko wzrasta i rozwija się. Już drugiego dnia zmienia się w wysmukłą, współrozwartą parasolką. Trzeciego dnia trzon jeszcze wyższy, u dołu cebulowaty, otoczony bufiastym, pięknym kołnierzykiem, w niewielkiej odległości od rozwartego już całkiem kapelusza o blaszkach szerokich, miętkoelastycznych, białych: kołnierzyk ten, szybko zyschając, opada na bulwę, tkwiąc na niej luźno, jakby czarodziejsko nałożony pierścień. Trzon wewnątrz w całej swej długości pusty, nieinaczej, skoro tak wysoki, a stosunkowo cienki, dźwigać musi tak szeroko rozłożony kapelusz.

Stroszki są prawdziwą ozdobą naszych pól i lasów. Bo niektóre ich gatunki rosną na ścierniskach w kształcie przedziwnych minjaturek najwyszukańszych w stylu i pięknie parasolek. Ale to maleństwa!

Bohaterka nasza, sprawczyni niniejszego feljetonu, dochodzi do 1 m. 20 cm wysokości! Bagatela! jest czem się dzielić na kolację w rodzinie półtuzinowej! Szkoda tylko, że i trzona nie można schrupać równie gładko, bo twardy, łukowaty. Ale mimo to — jakież smaczny!

(d. c. n.) Prof. Feliks Teodorowicz.

Moje biżuterje.

Mam lśniących perel równy rząd
W usteczkach, jak korale:
Używam ŻAKA „HEZADONT“
ELIKSIR, PASTĘ stale...

POMIDORY

Jakieś pół wieku temu uważane za jarzynę wymyślną i trudną do hodowania, przed dwudziestu laty jeszcze potępiane przez lekarzy, jako produkt szkodliwy dla artretyków i przy wszelkich innych złych przemianach materji — pomidory wstępnym bojem zdobyły sobie rynki i szerokie masy konsumentów, zwyciężyły wszelkie niechęci i przesady. I teraz już nietylko w pałacach bogaczy lub w mieszkaniu inteligenta, lecz w każdej izbie robotniczej jada się zupy i sosy pomidorowe, a co ważniejsze dla zdrowia — sałaty z pomidorów, a nawet robi się konserwy na zimę. A te ostatnie mają szczególnie ważne znaczenie w odżywianiu mniej zamożnej ludności miejskiej, nie używającej innych jarzyn poza kartoflami, kapustą i burakami.

Kuchnia nowoczesna, idąca nietylko w kierunku zwiększenia użycia jarzyn, lecz i starająca się usunąć zbyt duże ilości ostrych przypraw i korzeni — bez pomidorów, jako przyprawy, zupełnie się obejść nie umie. W krajach południowych stanowią one składową część niemal każdej potrawy — i niema tu różnicy gustów: pomidorami zaprawia swój makaron włoski, swój barszcz ukraiński czy wołyński, z pomidorami spożywa swą mamaligę serbską czy bułgarską.

U nas corocznie w środku lata rozlega się wieść hiobowa, że pomidory w tym właśnie roku nie dojrzeją, że będzie ich bardzo mało i, naturalnie, będą bardzo drogie. I, dzięki Bogu, co roku wieść ta okazuje się z gruntu fałszywą, obliczoną na utrzymanie wysokich cen rynkowych. Pomidor tak doskonale u nas się zaaklimatyzował, że mimo spóźnionej wiosny i dżdżystego lata, co jesień daje obfite plony i w sezonie jest nadzwyczaj tani.

Przecież podmiejscy drobni ogrodnicy i gospodarze małorolni, tak zwani pospolicie „badylarze“, całe poletka pomidorami zasadzają, stosując do ich hodowli jaknajbardziej prymitywne metody. Ani palikowania, ani obcinania gałęzi. Owoc będzie nieco mniej dorodny, dużo opadnie lub zgnije, ale to, co dorośnie i dojrzeje, jeszcze sowieć się opłaci.

Jak obfitym może być urodzaj pomidorów, jak wydajną ich hodowlą, miarę tego mieć mogą posiadacze małych ogródków miejskich czy podmiejskich. Dziesiątek krzaków, starannie hodowanych, odpowiednio unawożonych, palikowanych i obcinanych, dać może około centnara owocu, czyli zaspokoić potrzebę roczną niedużej rodziny.

Jeżeli przejdziemy do użycia pomidorów, znane są wszystkim wszelkie zupy pomidorowe, mięsne i postne, czyste i zabielańskie, barszcze i barszczyki pomidorowe, sosy mięsne i postne do ryb i potrawek mięsnych, do kasz i budyniów, do klusek i makaro-

nów. Mniej używane są pomidory, jako oddzielna jarzyna, lub też jako samodzielne danie. Tymczasem właśnie w tym kierunku pomysłowa gospodyni i chętna kucharka mogą osiągnąć znakomite rezultaty. Pomidory smażone, krajane w plastry lub w całości; duszone same, lub w połączeniu z innymi jarzynami; nadziewane najróżnorodniejszymi farszami — mogą do nieskończoności urozmaicać jesienne jadłospisy ludzi mniej i więcej zamożnych. Niestety — w naszym klimacie — jesienią tylko. W sklepach gastronomicznych widzimy pomidory przez rok cały, przywożone z Włoch, z Rumunii i t. p., jednak dostępne są tylko ludziom zamożnym, i zdadne przeważnie na salatkę, tartynki i t. p.; na zupy i sosy mniej się nadają, gdyż zrywane zawczasem, dojrzewając dopiero w ciągu długiej drogi, nie mają właściwego smaku, ani aromatu i nawet w kolorze są blade.

Mamy całe szeregi wypróbowanych sposobów konserwowania masy, marmelady pomidorowej: gotowanie w butelkach, sterylizowanie w Weck'ach, duszenie przecieranych pomidorów i następne zagotowywanie w słojach; bardzo proste, a bodaj że ze wszystkich najbardziej celowe, konserwowanie za pomocą kwasu salicylowego. Czyli, zależnie od gustu i tradycji domowej, każda gospodyni może zaopatrzyć swą spiżarnię w produkt, dający smaczne zupy i sosy.

Znacznie gorzej rzecz się przedstawia, jeżeli chodzi o zakonserwowanie pomidora w całości, zdatnego na jarzynę lub na salate. Wcale dobry jest sposób kwaszenia pomidorów, jak ogórków, jednak owoc, w taki sposób przyrządzony, jest miękki i pogniciony, czyli po przetarciu może zastąpić tylko marmeladę. Konserwowanie w mocno osolonej wodzie zupełnie zbankrutowało: kształt i kolor owocu wprawdzie pozostaje, lecz smak i aromat zupełnie ginie. Sterylizowane w puszkach i słojach pomidory wyglądają ładnie i nieźle zachowują smak świeżego owocu, lecz zawsze są miękkie i nie dają się pokrajać na salatkę.

Otóż starania gospodyń i fabrykantów konserw powinny stale iść w jednym kierunku: zachowanie pomidorom jędrności przy przechowaniu ich na zimę. Niedawno bardzo dobra i zasługująca na zaufanie gospodyni podała mi dwa sposoby długiego przechowywania pomidorów; oba bardzo mi się podobały, ponieważ jednak sama nie miałam czasu ich wypróbować, a rok czasu, stracony na próby, wcale mi się nie uśmiecha — zwracam się do dobrych gospodyń z apelem, aby oba sposoby jeszcze tej jesieni zastosowały i o rezultacie prób zechciały redakcję „Bluszcza” lub mnie osobiście zawiadomić.

Pierwszy polega na tem, aby dojrzałe, lecz twarde, jędrne, nie tknięte mrozem i bez wszelkich plamek pomidory układać w skrzynki, przesypując je suchym proszkiem torfowym w taki sposób, aby

jeden drugiego nie dotykał. Mogą tak dotrwać do Nowego Roku; skrzynki otwierać w miarę potrzeby.

Drugi sposób. Zupełnie wyrośnięte, lecz jeszcze zielone pomidory, również bez plam i uszkodzeń, układać w skrzynki, przesypując wysuszonym w piecu, czystym piaskiem. Trzymane w suchym i niezbyt ciepłym (nie marznącym jednak) miejscu, otwierać należy dopiero na Wielkanoc. Mają do tego czasu dojrzeć doskonale i dotrwać niezspsute.

Nakoniec, zielone pomidory, które się zwykle zupełnie marnują na ogrodach, należy zużytkować, jak następuje. Największe się kwasi, jak ogórki; średnie przerabia na słodką salate octową, jak gruszki lub śliwki; najmniejsze marynuje się, jak grzybki lub korniszony, na ostre pikle.

Pani Elżbieta.

BEZPŁATNIE



WIELKA ILUSTROWANA HISTORIA ŚWIATA

Kto chce poznać i zrozumieć dzieje współczesne, kto chce zorientować się w całości otaczających go zagadnień, kto chce wziąć udział w tworzeniu nowego życia musi poznać:

DZIEJE ŚWIATA, w którym żyje i działa.

Musi poznać HISTORIĘ POWSZECHNĄ, HISTORIĘ LITERATURY i SZTUKI i HISTORIĘ KRAJU RODZINNEGO.

Znane szerokim kołom czytelników wydawnictwo „NASZEJ BIBLIOTEKI” przystąpi w najbliższym czasie do wydania Wielkiej Ilustrowanej Historji Świata w 10 tom. zawierających 1600 str. druku, kilkaset ilust., tablic i map.

W celach reklamy i spopularyzowania swoich wydawnictw „Nasza Biblioteka” postanowiła rozdać pewną ilość egzemplarzy bezpłatnie. Każdy, kto w przeciągu 8 dni nadesłanie niżej załączony kupon pod naszym warszawskim adresem otrzyma bezpłatnie to wspaniałe dzieło. Tylko tytułem zwrotu kosztów reklamy i ekspedycji liczymy 70 gr. od tomu. Po upływie tego terminu będziemy przyjmować zamówienia już tylko za opłatą, ozdobne wydanie, drukowane na bejdrzonym papierze w cenie zł. 3 za tom.

„NASZA BIBLIOTEKA”,
Warszawa, Współna 25.

214

Kupon ważny tylko 8 dni.
Prosimy nie załączać żadnych pieniędzy ani znaczków.

Niżej podpisany prosi o przesłanie szczegółowego
prospektu na reklamowe wydanie Historji Świata

Imię nazwisko

Adres

KUPON
„Bluszcz” Nr. 42
19.X.29.



POMIDORY FASZEROWANE

Na dwanaście dużych, mięsistych pomidorów przygotować farsz następujący. Pół kilo nietłustej wieprzowiny pieczonej lub duszonej przepuścić przez maszynkę wraz z piętnastoma deka ugotowanego oddzielnie ryżu. W sosie i tłuszczu, pozostałym od wieprzowiny, poddusić dużą, drobno usiekaną cebulę, zmieszać to wszystko razem, osolić do smaku, popieprzyć lekko białym pieprzem. Z pomidorów ścinać wierzchy, łyżeczką wyjąć ziarnka, nie naruszając ścianek, leciuchno posolić każdy pomidor wewnątrz. Napęlnić ostudzonem nadzieniem, przykryć wierzchem. Ułożyć na rozpuszczone na brytfannie masło i wstawić do niezbyt gorącego pieca na kwadrans. Pomidory przenieść ostrożnie na półmisek (najlepiej użyć do tego łopatkę, używaną do przewracania kotletów lub sznyceli). Do sosu, który się uformował na brytfannie, wsypać łyżeczkę maki, dodać parę łyżek śmietany, pół szklanki rosółu lub wody, zagotować raz, przefasować przez durszlak, polać tym sosem pomidory i podać gorące.

PRZEKĄSKA Z ZIELONYCH POMIDORÓW

Marchew, pietruszkę, pół selera, por i dwie duże cebule drobno pokrajać i dusić w niedużej ilości wody z paru łyżkami oliwy. Gdy jarzyny już prawie miękkie, włożyć w nie dziesiątek zupełnie zielonych pomidorów, kilka ziarn pieprzu, ziela, liść i dusić dalej, aż pomidory się rozgotują na miazgę. Osolić do smaku, wlać parę łyżek dobrego, winnego octu, przetrzeć przez rzadkie sito i ostudzić w salaterce. Można w dniu postne smarować tem chleb z masłem, lub też podawać na przekąskę po wódce. Chcąc mieć ostrzejszą przekąskę, można dodać łyżkę angielskiej musztardy w proszku i z nią jeszcze dobrze przegotować.

PIKLE Z POMIDORÓW

Najmniejsze, zielone pomidorki, które jesienią pozostaną na krzakach (byłe nie były tknięte mrozem), można użyć na wyborne pikle, mogące służyć nie tylko na garnitur do mięs i ryb, lecz nawet na przekąskę do wódki zamiast marynowanych grzybków. Otarłe na sucho ściereczką, złożyć do słoja i posolić obficie miłąką solą. Przez noc puszczać z siebie sok; przemieszać je dobrze i trzymać tak w soli przez dwie doby. Późem pomidory odcedzić, osuszyć

na czystem płótnie, złożyć napowrót do suchego słoja. Ocet winny lub spirytusowy zagotować z pieprzem, listkiem, zielem, imbirem i paru goździkami. Ostudzonym zupełnie zalać pomidory. Po upływie doby ocet zlać, zagotować ponownie i znów ostudzonym zalać pomidory. Powtarzać to trzy do czterech razy w odstępach dwudziestu czterech godzin. Ostatni raz na wrzący ocet wrzucić pomidory i natychmiast odstawić na brzeg blachy. Potrzymać w gorącym occie pięć do dziesięciu minut, poczem natychmiast przelać do porcelanowego naczynia — do wazy lub salaterki. Pikle te dla ładnego koloru należy robić w mosiężnej miedniczce do konfitur, dłuższe więc przebywanie w niej mogłoby je uczynić szkodliwymi dla zdrowia. Na kilo gotowej konserwy należy dodać jedną pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Po zupełnem wystudzeniu przełożyć pikle w małe słoiki i mocno obwiązać pergaminem lub szklanym papierem.

KONFITURY Z POMIDORÓW

Zupełnie jeszcze twarde, zielone pomidorki obetrzeć z kurzu na sucho; większe przekrajać na płask na surowo, mniejsze nakłuć srebrnym widelcem, ułożyć w salaterce i zalać zimnym syropem, ugotowanym z pół kilo cukru i szklanki wody na kilo pomidorów. Po dwudziestu czterech godzinach syrop ten zlać, przecedzić przez sitko, aby usunąć zeń ziarnka, dodać pół kilo cukru, zagotować syrop i letnim zalać pomidory. Po upływie doby powtórzyć to raz jeszcze, dodając ostatnie pół kilo cukru (na kilo pomidorów będziemy w taki sposób mieli półtora kilo cukru). Na wrzący syrop wrzucić pomidory, jednocześnie włożyć dla zapachu cieniuchne paski żółtej cytrynowej skórki. Miedniczkę przestawić na bardzo wolny ogień. Gdy pomidory raz się zagotują, przelać je do salaterki i ostudzić. Nakoniec następnego dnia syrop przesmażyć raz jeszcze i po włożeniu pomidorów do wrzącego syropu, dosmażyć na wolnym ogniu, aż pomidory staną się przezroczyste. Na kilo konfitur dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Po dokładnem ostudzeniu przełożyć do słoików i obwiązać pergaminem lub szklanym papierem. Oryginalne te konfitury mają śliczny kolor i są doskonałym materiałem dekoracyjnym przy ubieraniu ciast i legumin

Pani Elżbieta.

Skończy się oodzienna troska dysponowania obiadów dla każdej z pań, która nabędzie książkę p. t.

„DYSPOZYCJE ŚNIADAŃ, OBIADÓW I KOLACYJ”

Książka ta ułatwia prowadzenie domu, podając racjonalnie zestawione menu na wszystkie pory roku.

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O. T-wa Wyd. „Bluszcz” Nr. 13555

KORESPONDENCJE

Pani A. N. — Przeworsk. Prosimy o informacje co do wieku, zdrowia, stopnia wykształcenia, zawodu i t. d. danej osoby. Jest wiele schronisk dla osób starszych, przepracowanych, dotkniętych nieuleczalną chorobą lub kalectwem. Dopiero, gdy poznamy bliższe warunki, będziemy mogli skierować Sz. Panią pod właściwy adres.

Pani J. Ch. — Bydgoszcz. Myśl jest dobra, cena niewygórowana; sądzę, że z łatwością znajdzie Sz. Pani amatora. Trzeba napisać do p. Teodorowicza — adres: Drukarnia D. O. K. VII — Poznań, ul. Babińskiego 1 — 5 — dla p. Feliksa Teodorowicza; do p. E. Jankowskiego: Redakcja „Ogrodnika Polskiego” — Warecka 14 w Warszawie; do Towarzystwa Ogrodniczego: Bagatela 3 w Warszawie; do p. Inżyniera St. Schönfelda: Marszałkowska 52, w Warszawie — i do Dyrektora Marcińca: Poznań, ul. Głogowska 56. Wszędzie trzeba wyraźnie opisać cel swojego listu, posłać znaczek na odpowiedź i powołać się na naszą Redakcję. Poza tem należy podać ogłoszenia w pismach najpopularniejszych w Bydgoszczy, Poznaniu i Warszawie („Kurjer Warszawski”). Niech Sz. Pani napisze również do Działu „Między Nami” w piśmie „Kobieta w Świecie i w Domu” — Plac Zamkowy 9.

Pani J. K. — Krotoszyn. — O ile ślub ma być cichy, w rannych godzinach, najważniejszy jest kostjum, kapelusz i dobrze dobrane dodatki, które stanowią o elegancji stroju. Kolor może być dowolny. Jeśli toaleta ma być biała z welonem, ta jednak jest zawsze najodpowiedniejsza.

W dniu 25 września o godzinie 12 i pół w południe odbyła się w Dziekanacie Wydziału Lekarskiego U. J. uroczystość wręczenia dyplomów absolwentkom Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie.

Akt ten odbył się w obecności JWPP. Pro-Rektora U. J. Prof. M. Siedleckiego, Dziekana Wydziału Lekarskiego U. J. Prof. Dra J. Piltza, Delegata Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (Departament Służby Zdrowia) Dra Witolda Przywieczerskiego, oraz reprezentantów miasta w osobach JWPP. Wiceprezydenta Dra Schneidra i Naczelnego Lekarza Miejskiego Dra Owsińskiego.

Po przemowie Dziekana Prof. Piltza oraz Delegata Departamentu Służby Zdrowia Dra Przywieczerskiego, otrzymały dy-

plomy pp.: Brokowska Jadwiga, Dolgonowiczówna Józefa, Duzińska Stanisława, Janiakówna Anastazja, Kaniemska Jadwiga, Roszkiewiczówna Helena, Różycka Katarzyna, Rychlińska Krystyna, Skinderówna Irena, Skwarcówna Anna, Wilczyńska Marja, Wilkońska Regina, Wróblewska Zofja, Zielazna Marja, Żerówna Ludgarda, Żymicka Wanda.

Wszystkie wyżej wymienione absolwentki mają zapewnione posady, częściowo w klinikach U. J. i poradniach w Krakowie, częściowo poza Krakowem.

SMAKOSZE

piją tylko

herbatę Lyons'a

Herbata Lyons'a

DO NABYCIA

we wszystkich pierwszorzę-
dnych handlach kolonialnych.

213

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Dzwon na trwogę

Niniejszem pragnę przemówić do wszystkich kobiet, do ich serc, sumienia i energii, w sprawie poprostu strasznej, nad którą dziwnym jakimś sposobem przechodzimy do porządku dziennego, choć jest ona hańbą, a zarazem nieustanną grozą całego społeczeństwa.

To sprawa handlu kobietami.

Myślą niby o niej prawodawcy, specjalny wydział walki z tą ohydą istnieje nawet w Lidze Narodów, ściga niby wszędzie handlarzy policja; jednak straszny ten proceder kwitnie w najlepsze.

A oto kilka szczegółów, jak rozwija się on w Polsce:

W kwietniu kroniki policyjne zanotowały 44 wypadki **porwania** młodych dziewcząt, które **zginęły bez śladu**.

W jednym tylko miesiącu. A przecież rok ma ich dwanaście!

W maju znów Poznań poruszony został taką samą sprawą. Zniknęła, porwana w drodze do szkoły, w biały dzień, o godz. 8-ej rano, 18-letnia córka znanej w mieście rodziny. Dzięki interwencji policji kobiecej, znaleziono po czterech dniach, na dworcu w Warszawie, dziewczynę tę nieprzytomną. Doznała ona tak silnego wstrząsu nerwowego, że trzeba było oddać ją pod obserwację psychiatrów.

Przeważnie jednak nie udaje się odnaleźć takich nieszczęśliwych ofiar. Albo też odnajdywane są „prywatnie”. Pamiętam dobrze fakt tego rodzaju, opisywany przed kilkunastu laty. Ojciec zaginionej w ten sposób, 14letniej dziewczynki, świadomy rzeczy, jako mężczyzna, rozpoczął poszukiwania na własną rękę. Po wielu zachodach, dowiedział się, że córka jego przebywa w domu publicznym w Rumunii. Pojechał więc tam, córki jednak wydać mu nie chciano, gdyż właścicielowi takiego zakładu przysługuje prawo odmowy wydania pensjonarki-niewolnicy! Było to wprawdzie jeszcze przed wojną. Ale nie wiele się, widać, od tego czasu zmieniło, skoro i dziś setki dziewcząt giną bezpowrotnie, prasa zaś podaje lakoniczne wzmianki, że zostały wywiezione zagranicę. Pędzą tam żywot straszny, prawdziwą katorgę moralną i fizyczną. A co się z nimi staje, gdy są już niezdolne do „handlu”? Zapewne trują je i chowają w tajemnicy? W każdym razie, nie wracają one nigdy.

Obecnie znów ukazały się w dziennikach wiadomości, że w Sosnowcu istnieje główny sztab mię-

dzynarodowej szajki handlarzy żywym towarem. Organizacja ta, obejmująca Polskę, Niemcy, Francję, Belgię i Brazylię, posiada agentów w licznych prowincjonalnych miastach Polski, między innymi w Piotrkowie, Sosnowcu, Będzinie i t. p. Dziewczęta wywożone są do Antwerpji, skąd odstawiają je do Brazylii.

Przedstawiciele tej szajki w Polsce zwabiali dziewczęta pod pozorem dostarczenia im posad, i wywozili za fałszywymi paszportami, które fabrykowali. Za każdą ofiarę otrzymywali po 2 tysiące złotych.

Wiemy dobrze, iż różne władze i urzędy walczą z tym okropnym stanem rzeczy, ale dlaczego walka ta wydaje tak nikłe rezultaty?

Dochodzi przecież do tego, że w XX-ym wieku, w środku Europy, młoda dziewczyna jest narażona na porwanie w biały dzień na ulicy, że na każdym miejscu czyha na nią zorganizowana doskonale banda rozbójników, gorszych od średniowiecznych, którzy odbierali jedynie życie, a nie skazywali na długoletnie męczarnie i hańbę.

Trzeba przecież temu zaradzić! Jest rzeczą poprostu potworną, aby obywatelki wolnej Polski były sprzedawane na los, gorszy od doli dawnych niewolników.

Jedynym środkiem zniesienia tej ohydy jest zorganizowana akcja całego społeczeństwa, a zwłaszcza kobiet. Należy dążyć przede wszystkim do jak najszerzego uświadczenia i ostrzegania o niebezpieczeństwie. Uświadczenie to przytem musi iść nie, jak dotychczas, po linii sensacji, ale prawdziwej **informacji**. Podczas wspomnianego tu wypadku młodej poznaniarki, aresztowano podobno dwóch podejrzaných osobników. Prasa nie podała jednak ani ich nazwisk, ani żadnych szczegółów czasu i miejsca rozprawy sądowej przeciwko nim. A przecież mamy prawo wiedzieć, czy i jak ukarano zbrodniarzy!

Dotychczasowy wymiar kary na handlarzy kobietami jest śmiesznie mały, mniejszy, niż za zniewolenie, choć to przestępstwo może być zakwalifikowane, jako dokonane w stanie wysokiego podniecenia i nigdy chyba nie bywa spełniane dla zysku.

Dla śledzenia przestępców niezbędne jest również wydatne powiększenie kadr policji żeńskiej, ponieważ praktyka zarówno w Polsce, jak i na całym świecie wykazała, że kobiety-policjantki położyły już, pomimo krótkiej swej działalności, największe zasługi w wykrywaniu handlarzy żywym towarem.

I wreszcie mamy prawo, my, obywatelki, żądać zniesienia ohydy XX wieku — domów publicznych. Jeżeli handel ludźmi jest w Polsce zabroniony, to jakim prawem istnieją usankcjonowane ośrodki tego handlu?

A więc: każda kobieta bezpośrednim wpływem swoim w rodzinie, w kołach zawodowych, towarzyskich i społecznych;

wszystkie stowarzyszenia kobiece i te, w których kobiety biorą udział;

wszystkie, na każdym polu wybitne działaczki, posłanki,

zażądać powinny:

Podniesienia w Polsce wymiaru kary na handlarzy żywym towarem, **aż do kary śmierci włącznie** — życie za życie.

Zniesienia domów publicznych.

Zwiększenia kadr żeńskiej policji obyczajowej.

Jeżeli przeprowadzimy spełnienie tych żądań, wypłenimy z Polski najstraszniejszą ohydę XX-go wieku.

Niech każda matka pamięta, że córkę jej może spotkać podobna hańba.

Olimpja Marchwicka z Góry Kalwarii.

Polska wieś

Kto z nas nie zna polskiej wsi? Tej górskiej z drewnianymi domkami, rozrzuconymi tu i owdzie na uroczych polankach Tatr, skąd wieczorem rozcho-
dzą się przecudne piosnki góralskie. I tej podkarpac-
kiej wioski, do której coraz częściej zagląda mieszka-
niec miasta, by wypocząć po ciężkiej całorocznej
pracy, znajdując tam dużo serdeczności i uprzejmo-
ści, od gazdyń czarnobrewych, w kolorowych, jak
maki polne, ubraniach. Znamy i dziatwę z białemi,
jak len, główkami i niebieskimi oczyma, wygląda-
jącymi ciekawie z zamorusanej twarzyczki, stykają-
cej się, niestety, tylko w niedzielę z wodą i mydłem.
Dziatwa ta spędza całe dnie na ulicy, w piasku, lub
w stajni pomiędzy bydłem. Często taki mały obywa-
tel, chodzący dopiero na czworakach, w najwięk-
szej harmoniji zajada z jednego talerza z kotkiem
lub gromadą kurcząt.

Przykro nam widzieć ten brak najelementar-
niejszej higjeny i opieki nad dzieckiem, ale po-
cieszmy się, że z czasem dojdzie ona i tu. Natomiast
wieczorem, gdy z powracającymi z pól i pastwisk
płynie zdaleka melodyjna piosnka, zapominamy
o wszystkim, zamieniamy się w słuch, szczęśliwi,
napawamy się tą polską tęsknotą, ludowym roman-
tyzmem.

Znamy i wsie huculskie, rozsiane u podnóża
Beskidów. Lud tam trochę nieufnem okiem patrzy
na przybyszów z miasta, ale są to tylko ślady wojny,
zginie i to wkrótce. Jest to szczep słowiański i różni
się mało od tatrzańskiego górala. Gdy z gór roz-
chodzą się głosy fujarek i tęsknych dumek, raduje
się nam dusza, że i tu, na tym krańcu Polski, żyje

ludowa, prastara tęsknota za czemś wzniosłym, nie-
znanem, a dobrem.

Tego roku, z powodu P. W. K., gościłam we wsi
wielkopolskiej. Poraz pierwszy zobaczyłam ją zbli-
ska i przyznam się, że byłam zdumiona ładem, do-
brobytem i organizacją pracy. Domy i budynki go-
spodarskie murowane, obszerne, przewiewne i schlu-
dne; dobrze prowadzone ogrody owocowe i warzy-
wne, dużo kwiatów koło domów. Zdumiona brakiem
dzieci na ulicach, dowiaduję się, że matki odprowa-
dzają je na cały dzień do ochronki.

Nie omieszkałam jej zwiedzić. Ładny domek
stylowy, raczej pałacyk w ogródku, gdzie bawiło
się około czterdzieścioro dzieci, od dwóch do sze-
ściu lat, czysto i przyzwoicie ubranych. Wpółśród
nich bardzo poważna, zdająca sobie sprawę z od-
powiedzialności, opiekunka.

W niedzielę poszłam do pobliskiego kościoła.
Wieśniaczki zachowały tu stary strój, bardzo orygi-
nalny, zwłaszcza zawój na głowie i duże, wzorzyste
chustki. Kościół bogaty i czysty. Chór mieszany mło-
dzieży miejscowej odśpiewał bardzo dobrze szereg
pięknych pieśni, którym doskonale akompanjował
organista. Czterech malców około lat ośmiu asysto-
wało do mszy św. z wielkiem przejęciem i sprawno-
ścią małych żołnierzyków.

Na zebraniu Tow. Młodych Polek, odbywają-
cem się w niedzielę, dowiedziałam się, że we wsi
jest jeszcze Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej
i Stow. Kobiet Pracujących — wszystkie trzy do-
brze prosperują. Zimą urządzone są przedstawienia
amatorskie i wieczornice.

Wszystko tu jest lepiej zorganizowane, niż na
wschodzie kraju. Oby wkrótce i tam doszła ta wzo-
rowa kultura.

A jednak czegoś tu brak — pomyślałam... Do-
piero wieczorem, gdy ciszę przerywał szum liści
na wiekowych topolach, i czasem echo psa szczeka-
jącego roznosiło się w oddali — zrozumiałam. Oto
brak im pieśni, brak im tych dumek ludowych. Oni
tu wcale nie śpiewają! Dobrze tu być, ale trzeba
koniecznie wnieść trochę wesołości, trzeba piosnki,
by żyła wiecznie w polskiej wsi, w polskich sercach,
by rozchodziła się od szczytów Tatr aż do Bałtyku.
W każdym zakątku Polski, w sercu każdej dziew-
czyny i młodzieńca. Trzeba koniecznie rozwijać jej
kulturę.

Niech żyje polska pieśń!

Róża Machówna — Poznań.

Teatry objazdowe na prowincji

Mieszkańcy małych osad lub miast powiato-
wych zawsze z tęsknotą wzdychają do rozrywek kul-
turalnych, do pokrzepienia ducha. Wiele domów po-
siada radjo; jest to wielkie dobrodziejstwo techniki,
ale radjo nie zastąpi teatru, gdzie widzi się grę ar-
tystów, ma się możność krytyki lub zachwytu, po-
dziwia się dekoracje.

To też mieszkańcy prowincji, pozbawieni tych uciech, tęsknią zawsze do dobrego teatru. Ciężkie czasy nie pozwalają wyruszać do miast wojewódzkich lub do stolicy, aby tam pieścić oko dobrą sztuką. Nic więc dziwnego, że gdy na słupach ogłoszeniowych zjawi się afisz, zapowiadający przedstawienie, wszyscy oblegają ogłoszenie, odczytując je po kilka razy, twarze nabierają dziwnego blasku, oczy płoną. Dzień upływa pod znakiem przedstawienia, które ma się odbyć wieczorem. Z ust do ust płynie wieść radosna.

Nie jeden sceptyk, próbujący przygasić ogólny entuzjazm, jest zakrzyczany i wyśmiany. Jak to! Co on plecie! Przecież ogłaszają się artyści scen wojewódzkich, a nawet stołeczni, lub emigranci, sławy scen kijowskich, odeskich.

Wreszcie zbliża się upragniony wieczór, którego rozentuzjasmowani mieszkańcy doczekać się nie mogli. Sala wypełnia się po brzegi. Nie brak nikogo z miłośników sztuki. Wszyscy in corpore przyszli po pokarm dla duszy, wydając nieraz ostatni grosz.

Rzecz dziwna — przedstawienie było zapowiedziane na 8-mą, już zbliża się 9-ta, a nie było żadnego dzwonka, zapowiadającego rozpoczęcie widowiska. Na niektórych twarzach znika już podniecie, miejsce jej zastępuje przykre przypuszczenie: prawdopodobnie sceptyk miał słuszość. Wreszcie kurtyna idzie w górę i przedstawia znudzonym oczekiwaniem widzom wstrętą scenę, udekorowaną tandetnymi obrazami; wychodzi pełniący rolę konferansjera jegomość, mówiący fatalną polszczyzną, i zapowiada w sposób niby dowcipny (dowcip ten jednak jest ciężki) program wieczoru. Potem prima-donna w kostjumie, budzącym podejrzenia, powtarza bez sensu program. Za chwilę zjawia się postać męska i zaczyna się dialog o wstrętnej, pornograficznej treści, wypowiedzany też łamaną polszczyzną. Śmieją się ze swych dowcipów sami wykonawcy, bo widzowie mają miny pogrzebowe i robią sobie wyrzuty, że się dali nabrać. A trzy postacie na scenie zmieniając co chwila wyszarżale tualety, zdabывая się na coraz bardziej dosadne dowcipy.

Wreszcie przedstawienie się kończy i znudzona publiczność z niesmakiem opuszcza salę, żywiąc wielki żal do złych wykonawców, w dodatku obco-krajowców.

Rozumiemy, iż sztuka jest międzynarodowa i nie powinno być różnicy, kto jest wykonawcą — rośjanie, czy polacy — a jednak, jednak przykre jest takie rozczarowanie widzów.

Bezwzględnie, każdy żyć musi, ale z chwilą, gdy nie ma warunków na scenę, niech upatrzy sobie inne zajęcie, które zapewni mu egzystencję. Takie naciąganie ludzi równa się oszustwu i odnośne czynniki winny na tę kwestję odpowiednio zareagować. Sztuka musi nieść światło, nie cienie, uczyć, a nie demoralizować.

Jednak nie zawsze jesteśmy tacy pokrzywdzeni. Zjawiają się od czasu do czasu dobre duchy z ożywczym nektarem, jakim jest dobra sztuka. Są to teatry objazdowe, którym dobro szerzenia kultury

leży na sercu, apostołowie, rzucający garść promieni. Do takich zaliczyć należy: operę objazdową, subsydowaną przez Min. W. R. i O. P., teatr J. Osterwy, który wystawia zawsze perły literatury teatralnej. W końcu września, w powrotnej drodze z Poznania, teatr regionalny pod dyr. T. Skarżyńskiego odegrał z wielkim powodzeniem „Wesele na Kurpiach”, wreszcie reżyser p. J. Czerski wystawił komedię Fijałkowskiego „Pan Poseł”.

Sztuki wspomniane odegrane były b. dobrze. Publiczność rozpromieniona i uradowana opuszczała teatr, w którym mile spędziła chwil kilka, wzbogacając równocześnie swój umysł.

Są to wielkie uroczystości, wielkie święta dla miasteczek. Przez szereg dni krążą echa wyrażanych zachwytów, na głowy wykonawców sypią się szczodre błogosławieństwa, a wargi same zdają się szeptać prośbę: — Przyjeżdżajcie częściej! Wlewajcie w nas otuchę i przebłyski lepszego jutra.

Pola Pałomska — Krasnystaw.

Trzeba oszczędzać — ale jak?

Czytałam niedawno, że dzień 31 października ma być poświęcony w całej Europie propagandzie oszczędności. Tak uważają tę zasadę narody bogate, które bez racjonalnej oszczędności nie byłyby dziś tem, czem są. Tem więcej potrzebna oszczędność nam, którzy jesteśmy „na dorobku” wszędzie i pod każdym względem. To też projektuje się, podobno, w Polsce cały tydzień oszczędnościowy. Trzebaby to wziąć poważnie do serca i naprawdę mądrze obmyśleć, bo, powiedziecby można, trawestując słowa wieszcza, że „oszczędność nie jest cnotą łatwą, ani małą”. Tak, nie jest łatwą. Częściej, niż rozsądną, widzi się oszczędność dziwaczną, nieracjonalną, lub stosowaną do rzeczy, do których właśnie stosować jej nie należy (np. zabardzo lubimy oszczędzać na książkach, a wielu z nas, nie umiejąc dobrze oszczędzać, macha poprostu ręką i... wydaje bez rachunku. Tak być nie powinno i nie może. Proponuję więc Sz. Paniom, abyśmy w tym okresie ostatnich dni października zastanowiły się, każda w swoim środowisku, nad tą ważną sprawą. Czy to w gronie rodziny, czy w towarzystwie, czy, kto umie je zorganizować, na specjalnem zebraniu przedyskutujmy: jak należy oszczędzać, jak podnieść i rozwinąć pracę i dochody, aby oszczędzać było z czego, a rezultatami naszych narad podzielmy się w „Mównicy”. Jest nas, czytelniczek, zastęp niemały więc głosy nasze i doświadczenie przydadzą się i nam wzajemnie, i społeczeństwu.

Wanda Ł. — Nowy Sącz.

Jak zamienić wełnę na kilimy?

Uprzejmie proszę Sz. Panie Czytelniczki, o łaskawe udzielenie mi wiadomości, w jakiej wytwórni kilimów przyjmują wełnę, aby wzamian zrobić kilim? Chodzi mi o tego rodzaju zamianę, gdyż mam wełnę i chciałabym ją przesłać wprost do wytwórni kilimów.

Będę bardzo wdzięczna za parę słów odpowiedzi w „Mównicy”.

Marja Godlewska.